

Kamena

BIALYSTOK
KIELCE
LUBLIN
RZESZÓW

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE
16. str.

16 stron

Waldemar Babinicz Jerzy Mieczysław Rytard
Leon Chajm Włodzimierz Słobosank
Anna Kamińska Ewa Szelburg Zarembina
Igor Postupański Stanisław Wygodzki

Tradycja i dzień dzisiejszy

PRZEDSTAWIAMY czytelnikom kolejny numer „Kamena”. Jest to mój jubileuszowy. Ukazuje się w dwudziestolecie wznowienia „Kamena” po wojnie. Dlatego też staraliśmy się o to, aby znalazły się w nim nazwiska przedwojennych i powojennych współpracowników — serdecznych przyjaciół pisma.

Kazimierz Andrzej Jaworski, długoletni redaktor i założyciel „Kamena”, zamieścił w pierwszym numerze odrodzonego pisma artykuł wstępny, który ponownie reprodujemy. Wszelkie komentarze są zbędne. Wznowienie „Kamena” nie nale-

mie nadal wiązała praca szkolna, nie było gdzie tłoczyć pisma... Trzeba się było przenieść do Lublina. Ale kto tam dopilnował wszystkiego? Kto będzie załatwiał sprawy związane z drukiem, korektą, kolportażem? Przecież ani praca w szkole, ani warunki materialne nie pozwalały mi na egipt wyjazd z Chełma.

Szczerze mówiąc, wychodził do Lublina syn Tadeusza Hochenskiego, Jacek... Korzystał z obecności w Lublinie Jaska, nie chcąc być samowładną, ukonstytuował się w „Kamena”, który od tam, bezimiennie zresztą, figurował w stopce pisma jako wydawca. Oprócz nas dwóch wchodził tu także Jerzy Pleśniarowicz. W tym tłumacząc Jacek Hochenski miał się zająć administracją pisma i wraz z Pleśniarowiczem dostarczać do nas wiadomości z lubelskiego życia kulturalnego, ja — jak i przed wojną — objąłem redakcję. Ale „zespół” w rzeczywistości był fikcją...?

Z czasem „Kamena” zmieniła swój charakter stając się z miesięcznika poetyckiego, dwutygodnikiem kulturalno-społecznym czterech wschodnich województw. Do stycznia br. pismem kierowała Maria Bechcysz-Rudnicka, która włożyła wiele wysiłku w redagowanie „Kamena”, nadal borykając się z wieloma trudnościami, głównie natury finansowej. W br. redaktorem naczelnym został Marek Adam Jaworski, syn założyciela pisma. W skład kolegium redakcyjnego wchodził ponadto: Zygmunt Mikulski, Jerzy Pleśniarowicz i Stefan Wolski.

Nie jest naszą rzeczą dokonywać oceny pisma. Z zadowoleniem musimy jednak odnotować fakt, że nasze poczynania cieszą się pełnym poparciem władz partyjnych i administracyjnych (mówią o tym m. in. serdeczne depesze gratulacyjne), że zainteresowanie „Kamena” stale rośnie, że zupełnie realna stała się szansa uzyskania w 1966 r. nakładu co najmniej 10 000 egzemplarzy. Nie jest to zapewne przy nakładzie „Kultury” czy „Życia Literackiego” liczbą imponującą, ale nie zapominajmy, że w br. startowaliśmy z nakładem 2 600 egzemplarzy, a kończymy rok nakładem 8 000 egzemplarzy. Zwiększenie nakładu uzyskaliśmy, co warto też odnotować, bez specjalnej akcji propagandowej czy reklamowej prasowej. Po prostu życie dowiodło, że „Kamena” jest ciągle potrzebna, że zapotrzebowanie na pismo zwiększa się nie tylko w czterech wschodnich województwach, ale i — według informacji „Ruchu” — w całej Polsce.

Kolegium redakcyjne, mimo że pismo zmieniło swój charakter, nie chce zaprzeczać dorobku „Kamena” przedwojennego. Drukujemy wiele wierszy, znacznie więcej niż inne pisma, nawet te, które uważają się za pisma literackie. Nadal dużą wagę zwracamy na popularyzację literatury słowiańskiej, głównie poezji. Jednocześnie pamiętamy, że jesteśmy dwutygodnikiem kulturalno-społecznym czterech wschodnich województw. Staramy się więc — może nie zawsze nam się to udaje — godzić tradycję z potrzebami dnia dzisiejszego.

Na początku przyszłego roku ogłosimy ankietę wśród naszych czytelników. Sądzimy, że ich głosy pozwolą nam lepiej zorientować się w ogólnym zapotrzebowaniu i pomogą w doborze odpowiedniej tematyki. Staramy się bowiem zawsze trafić w zainteresowanie własnego środowiska, co jest praktyką korzystnie odbijającą się na powodzeniu „Kamena”. Nie tracąc z oczu najodleglejszych nawet zjawisk świadczących o realizacji idei humanistycznych i artystycznych naszego czasu, zwracamy jednocześnie baczniejszą uwagę na swoje bezpośrednie otoczenie wychwytywać zjawiska, które nie zawsze docierają do nas ogólnie, plasując się w kręgu naszego życia. W tym chcieliśmy wyrazić szczególne wdzięczności debiutów, którym tak wiele uwagi poświęciliśmy i poświęcimy.

W przyszłości, zachowując pamięć dokonanych, które życiowość kraju i środowiska zechciała nam przyznać, postaramy się w jeszcze większym stopniu odzwierciedlać przemiany zachodzące w czterech wschodnich województwach, przesyłać je do ogólnego dorobku życia umysłowego naszego narodu.

Pierwsze strony...



DEPESZE GRATULACYJNE

ZESPÓŁ REDAKCYJNY „KAMENY”, LUBLIN

W 20-lecie wznowienia „Kamena” życząc Waszemu zasłużonemu piśmu dalszych sukcesów w działaniu na rzecz ciągłego wzbogacania życia kulturalnego w naszym kraju, a w szczególności na lubelszczyźnie i terenach zaprzyjaźnionych województw.

WINCENTY KRAŚKO
Kierownik Wydziału Kultury
KC PZPR

ZESPÓŁ REDAKCYJNY „KAMENY” W LUBLINIE

Z okazji 20 rocznicy wznowienia wydawania czasopisma „Kamena” w imieniu Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej składam Wam serdeczne gratulacje oraz życzenia owocnej pracy i pomyślności w życiu osobistym.

Pismo Wasze ma bogatą tradycję w całokształcie dorobku kulturalnego naszego województwa. Jesteśmy przekonani, że w dalszej swej działalności — czerpiąc z najchlebniejszych tradycji swego czasopisma — będziecie stale podnosić jego poziom ideowy i artystyczny, służąc coraz lepiej sprawie kulturalnego rozwoju lubelszczyzny.

Za Egzekutywy KW PZPR
i sekretarz KW PZPR
WŁADYSŁAW KOZDRA

OBYWATEL MAREK A. JAWORSKI REDAKTOR NACZELNY „KAMENY” W LUBLINIE

W listopadzie bieżącego roku miały dwadzieścia lat od ukazania się pierwszego numeru „Kamena”, wznowionej staraniem jej założyciela K. A. Jaworskiego w warunkach Polski Ludowej.

„Kamena” wznowiona w oparciu o piękną tradycję i coraz bardziej wiążącą się z procesami przemian zachodzących w życiu społeczno-kulturalnym, stała się dziś trwałym elementem dorobku kulturalnego naszej lubelszczyzny. Podnosząc na jej łamach szeroko i energicznie problemy społeczne i kulturalne województwa lubelskiego, buduje wysiłkiem ludzi jej służących, obraz nowej lubelszczyzny. Dwudziestolecie „Kamena” jest więc częścią historii naszego województwa. Ostatnio również częścią historii sąsiadujących z nami województw — białostockiego, kieleckiego i rzeszowskiego.

U gronu lat, które tym, jubileuszowym numerem „Kamena” rozpoczyna, składam w imieniu

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie i swoim własnym serdeczne słowa uznania i podziękowania Zespołowi Redakcyjnemu oraz wszystkim tym, którzy na dwudziestolecie składają jej wieniec.

Przekazując te słowa łączę jednocześnie jak najlepsze życzenia dla całego Zespołu Redakcyjnego w osiągnięciu dalszych sukcesów na polu publicystycznym i literackim.

Przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie
mgr PAWEŁ DĄBEK

„KAMENA” — LUBLIN

Z okazji 20 rocznicy ukazania się pierwszego po wojnie numeru „Kamena” najserdeczniej sze podziękowania za dotychczasowy wkład pracy w dzieło kształtowania oblicza kultury narodowej wraz z życzeniami dalszych sukcesów w dziedzinie popularyzacji literatury, osiągnięć społeczno-kulturalnych województwa Polski wschodniej oraz wszelkiej pomyślności w życiu osobistym całemu kolegium redakcyjnemu i współpracownikom

składa w imieniu
Egzekutywy KW PZPR
w Rzeszowie
WŁADYSŁAW KRUCZEK
i sekretarz KW

TOW. MAREK A. JAWORSKI
REDAKTOR NACZELNY „KAMENY” W LUBLINIE

Z wielkim zadowoleniem przyjmujemy wiadomość o wznowieniu w listopadzie 1945 roku „Kamena”, która następnie stała się

(Dokończenie na str. 2)



KAMENA

MIESIĘCZNIK LITERACKI

Rok VII Listopad 1945 r. Nr 1 (61)

Od Redakcji

Po sześciu krwawych latach — nie, wiekach! — milczenia wznowiamy „Kamena”. Wchodzimy nie tylko w nowy okres wydawniczy, ale i w nową epokę Polski. Stając w obliczu dzisiejszej rzeczywistości z radością i dumą stwierdzamy, że w jej budowie i naszej skromnej cegiełce nie zbrakło. Wszak w ciągu sześćdziesięciu lat „Kamena” na swym odcinku pracy antycypowała poniekąd te ideały i hasła, które się dzisiaj w naszych orzechach ucieleśniają. Już w pierwszym roku wydawniczym redakcja zestrzegając swoją zupełną niezależność ideową oświadczyła, że „w epokę przełomową, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i wiościarskiej o nowe oblicze świata z konającymi lecz żłobliwym jeszcze kapitalizmem upostaciowanym w tym czy innym jawnym czy zamaskowanym laszymio stają bezwzględnie po łowej stronie barykad”. Stwierdziła dalej w tymże artykule „Spojrzenie wstecz”. I zwracała i zwracać będzie „specjalną uwagę na kulturę narodów słowiańskich, najbliższych nam etnicznie a w równej mierze zagrożonych przez „potyły faszyzmu i hitlerowskich rokinów”. I dzisiaj podejmując znowu naszą pracę nie potrzebujemy się legitymować. Program nasz jest znany i wciąż aktualny. Lecz rzeczywistość powojenna stawia przed nami i inne zadania. Ilo podiów należy moralna i kulturalna odbudowa Polski. Walka z tym zniszczeniem, jakiego dokonała wojna w naszych duszach. Podniesienie poniewieranej przez lata okupacyjne godności ludzkiej. „Przywrócenie wartości przykazanemu Żeromskiego: „Czci człowieka”. Throna imponowaliból. Ale pamiętamy, że poezja jest nie tylko „matką zawiąnia”, ale i „piękności”. Inaczej, czym by się różniła od modlitwy i dobrych uczynków? Niech piękno słowa polskiego dławiona przez niemieckiego zbrodniarza zabrzmi znowu pełnym i czystym głosem wyzwolonej Ojczyzny.

„Kamena” borykała się z licznymi trudami. Już sam fakt, że redakcja, mimo że stała się w Chełmie, a pismo wydawało się w Lublinie, nie wpływał dodatnio na pracę, do tego dochodziły poważne kłopoty finansowe. Niemniej trzy zeszyty specjalne (poświęcone twórczości Aleksandra Błocka, Józefa Czechowicza i poezji żydowskiej i słowackiej) były dużym osiągnięciem „Kamena”.

Później — po różnych perturbacjach, które już nie należą do tematu — pismo przejął Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich.

W tym numerze, chociaż Ministerstwo Kultury i Sztuki odmówiło nam prawa życia, do tej inicjatywy przystąpiła pewna subwencja.

K. A. Jaworski w książce pt. „W kręgu Kamena” tak pisze o roku 1945:

„Nie miałem z kim dzielić pracy, jak to było dawniej. Zenon Wąsikowski nie wracał z obozu i nie dawał o sobie znaku życia. Należało przypuszczać najgorsze i obawy jego bliskich, jak się potem okazało, nie były słuszne. We wznowionym piśmie trzeba było być przegrywać z wkładem literatorem tak charakterystycznych dla przedwojennego „Kamena”. W Chełmie, z którym

Dwoje ludzi z Sajgonu

CYKADY grają nieustraszenie w leśnym gąszczy. Szumi rzeka, zataczająca tuż obok małowicy zakręt. Słódce siele struga złotego blasku pomiędzy gałęziami. Czarnowłosa dziewczyna kładzie przede mną zdjęcie. Fotograf przedstawia młodą parę w dniu zaślubin. Przystojny chłopak nosi ubiór o kroju europejskim. Panna młoda — białą suknię o wietnamskim fasonie. Oglądam jeszcze jedno zdjęcie sporządzone z tej samej okazji: goście, krewni i znajomi na tle niewysokich domów przedmieścia. Bukiet białych kwiatów w rękach panny młodej. Zwyczajne zdjęcie ślubne. Dziesiątki zdjęć podobnych można zbierać w każdym kraju, w pracowni każdego fotografa. Dlaczego to właśnie podobna dwójka ludzi trafia na łamy prasy wietnamskiej?

Odpowiedź można by zacząć słowami tak zwyczajnymi, że wydają się one prawie banalne. Było ich dwoje. Spokali się przypadkiem wśród gwarnej miasteczka. Krewna młodość człowieka poznała go ze swoją koleżanką. Obydwoje pracowali w przedsiębiorstwie. Poznali się, pokochali i pobrali. Rok trwało narzeczeństwo. Młody człowiek przyjechał do rodziny swojej wybranej. Jego ojciec mieszkał daleko. Rodzeństwo — również. Matki prawie nie pamiętał. Zmarła bowiem, gdy był dzieckiem. Hodzicie panny młodej, zmierzali na sajoński przedmieście, polubił chłopca, któremu dobrze parzyło z oczu. Pracował w warsztacie elektrotechnicznym. Był pogodny i energiczny. Małżeństwo zdawało się zapowiadać pomyślnie.

„Szumi dokoła tropikalny las. Ale ja jestem w tej chwili daleko stąd. Wedruję myślą i wyobraźnią przez ulicę Sajgonu. Znam to miasto z fotografii, z filmów. Próbuje wyobrazić sobie przedmieście Sajgonu, które zwie się Phu Thum. Ide przez nie w ślad za opowieścią siedzącej naprzeciw młodej kobiety o dziewczęcinę wyglądzie. Czarna opaska w czarnych, długich, spadających na ramiona włosach. Łagodne spojrzenie, spokojne rysy. Wygląda inaczej, niż na ślubnym fotografii, sporządzonej przed półtora rokiem. Na pierwszy rzut oka trudno rozpoznać w niej — wedle zdjęcia — tę samą osobę, z którą dziś rozmawiam. Tak jak trudno w człowieku stojącym obok panny młodej rozpoznać tego, którego inne zdjęcie obiegło nieco później dzienniki całego świata. Młoda kobieta jest inna, niż na zdjęciu. Powaga i smutek — oto uczucia, które przeobraziły jej twarz. Nic w tym dziwnego. Rok 1965, rok 1964 na zawsze wrył jej się w pamięć.

A więc — ślub i wesele. Dzień 20 kwietnia 1964 r. był słoneczny. Niebo bez jednej chmurki. Uśmiechnięte, żywcem twarze rodzin, przyjaciół, zaproszonych gości. Słowa wszystkim było tak, jak być powinno. Tylko na krótko przed ślubem młodzi posprzecznili się, ale o tym nie wiedział nikt z obecnych. Nie wiadomo, dlaczego młody elektryk w ostatniej chwili usiłował odłożyć datę zapowiedzianej ceremonii. Narzeczoną nie ukrywała rozczalenia i urazy. Argumenty jej były zresztą istotne: wszystkie przygotowane do wesela, zaślubiona rodzina, zaproszeni goście.

— Quyen, czy wiedziałas o nim coś więcej? Czy domyślałaś się?

Młoda kobieta podnosi na mnie ciemne wyraziste oczy.

— Nie. O niczym nie miałam pojęcia. Wierzyłam, gdy mi mówił, że wieczorną pracuje w warsztacie elektrotechnicznym nad jakąś skomplikowaną maszyną. Miałoby to być jakieś bardzo pilne zamówienie. Na sprawach politycznych nie znam się nie a nie. Proszam go tylko o jedno: „Pamiętaj, nie idź do armii”. Wiedziałam, że jeśli pójdzie do armii rządowej, będzie służył wrogowi. Rozumiałam tyle, ale nie ponadto.

I znowu ze straszliwych wydarzeń Poludniowego Wietnamu przenoszę się myślą do Sajgonu. Znowu słowa Phan Thi Quyen prowadzą mnie na przedmieście Phu Thum, gdzie przygotował dom dla siebie i dla żony młody elektryk zatrudniony w firmie Ngoc Anh. Elektryk nazywał się Nguyen Van Troi.

Na razie poprzez słowa Phan Thi Quyen spotykam w niedawną przeszłość. Dwoje młodych ludzi układało sobie plany wspólnego życia. Troi w warsztacie elektrotechnicznym zarabiał 3000 piastrow

mienniecznie. Quyen w fabryce włókienniczej — 1300 piastrow. Tonie, dno, jak na warunki sajońskie. Ale podobne są zarobki wielu mieszkańców stołicy Poludniowego Wietnamu. Młody człowiek zatrudnił się o przygotowanie domu dla nich obojga. Sam sporządził proste, niezbędne meble. Sprzedał mieszkanie, najniższe przedmieście. Mieszkanie młodej pary miało być chatką skleconą na przedmieściu z drewnianymi ścianami i dachem pokrytym liśćmi. Na jakiegokolwiek lepsze mieszkanie nie było ich stać.

— Jak urządził sobie wspólne życie? — pytam. I w tej samej chwili myślę, że to życie trwało zaledwie kilkanaście dni.

— Pracowaliśmy tak jak przed ślubem. Cieszyłam się bardzo nie spodzianką w postaci używanego motocykla, który kupił i odremontował mój mąż. Ale nie zdążyliśmy wyjechać nim ani razu na wycieczkę. Nigdy po ślubie nie byliśmy razem na przechadze albo w kinie. Minęło zaledwie 19 dni.

Cień pada na śniadą twarz młodej kobiety. Cień ten rzuciło osłaniające nas wysokie drzewo — czy wspomnienia niedawnej przeszłości? Cykady znowu rozpoczęły przerwy koncert i zanoszą się przenikliwym dźwiękiem. A ja idę śladami Troi i Quyen przez ulicę Sajgonu. Powraca pamiętny dzień 9 maja 1964 roku — pochmurny, kapiejący deszczem ranek. Ranek ów nastąpił po nocy pełnej trwającego oczekiwania. Troi nie wrócił na noc do domu. Rano przywlokła go policja. Przygotowywano zamach przeciwko ministrowi wojny USA, który przyjechał do Sajgonu. Zamach chybił celu. Młodego człowieka aresztowano, tak jak wielu innych mieszkańców stołicy Poludniowego Wietnamu, podejrzanych o współudział w tym konspiracyjnym przedsięwzięciu. Aresztowano również Quyen, która pozostawała w więzieniu przez kilka miesięcy.

— Wtedy zrozumiałam wszystko. — Pojłam, dlaczego chciał odłożyć datę ślubu: żeby mi oszczędzić ewentualnych podejrzeń o współudział w zamachu. Żeby mnie uchronić przed niebezpieczeństwem. Zrozumiałam, jaka była owa pilna robota, której poświęcał ostatnie wieczory. Zrozumiałam, dlaczego z jego palca znikł ofiarowany przeze mnie mu na krótko przed ślubem podarunek: pierścionek zaręczynowy. Zapytały przeze mnie o pierścionek, był zakłopotany i wykręcał się z odpowiedzią. W rzeczywistości sprzedał pierścionek. Potrzebne były bowiem pewne części do przygotowanej miny. Grupa konspiracyjna ruchu oporu, do której należał, nie miała na ich zakup dostatecznej ilości pieniędzy.

Nguyen Van Troi skatowany, zmaltretowany przez służbów USA wielokrotnie w toku śledztwa ciskał im prosto w twarz twarde słowa ostrych prawd. Choćby był skuty kajdanami, próbując ucieczki. Zaryzykował skok z okna wysokiego budynku. Próba ta nie powiodła się. Przewód sądowy trwał krótko. Młody człowiek skazany został przez trybunał sajoński na śmierć.

Ostatni blysk nadziei, która podsycała sensacyjnie brzmiałymi tytułami w prasie, jak iskra elektryczna obiegła cały Sajgon: partyzanci wietnamscy uwolnili oficera amerykańskiego jako zakładnika.

ka. Jego życie było ceną życia Nguyen Van Troi. Wietnamska zdawała się być wtedy tak blisko walczącego Wietnamu! To, co nieprawdopodobnie, wydawało się możliwym.

Quyen mówi, że w to wierzyła. Nie ona jedna czepiała się resztek nadziei. Wszyscy, którym znane było nazwisko młodego zamachowca i okoliczności jego odważnego czynu, liczyli na tę szansę ocalenia. Ale łatwowierni partyzanci wietnamscy przedwcześnie uwierzyli Amerykanom. Wypuścili z rąk zakładnika, otrzymawszy solenne zapewnienie, że Troi nie zginie. Amerykanie tylko na to czekali. Sajgończy wykonawcy dyktanda USA odpowiedzieli niezwłocznie zarządzeniem egzekucji Nguyen Van Troi.

— Idę myślą za słowami Quyen poprzez ostatnie dni i ostatnie nadzieje. Aż do ostatniego widzenia. Tego widzenia, którego już nie było.

W pochmurny, dżdżysty dzień 16 października Quyen daremnie czekała na otwarcie więziennych bram. Odmówiono jej wstępu do więzienia, chociaż był to dzień widzenia. Spojrzała samochód z trumną, jaki wjechał poza obrys murów. Widziała autokar z liczną grupą dziennikarzy. Nie myślała, że minuty życia jej męża są policzone. Ze niebawem cisnie on w oczy przedstawicielom sajońskich prasy ostatnie przedśmiertne słowa, które za ich pośrednictwem obiegą cały świat.

Przed ślubem egzekucyjnym, o krok od zgony Troi powiedział:

— Zauważ tylko tego, że zamach się nie udał.

I zakończył swoje życie okrzykiem, którego nie zdobyli stumić salwy egzekucyjnej plutonu: — Niech żyje Front Wyzwolenia Poludniowego Wietnamu! Niech żyje Ho Chi Minh! Niech żyje wolny Wietnam!

— Powiedział mi pewnego razu, podczas jednego z widzeń więziennych, że kiedy go już nie będzie, powinien iść do ruchu oporu, do strajkujących — podejmuje Quyen. — Tak zrobiłam.

Milknie. Wokół nas długo trwała cisza, przerywana warkotem samolotów silników. Krąży i tropia. Tak jak wczoraj i przedwczoraj, jak prawie co dzień.

Młody robotnik sajoński wyrósł z tego samego nurtu bohaterstwa, który wydał wielu ludzi zapisanych trwałymi zgłoskami w dziejach walk wyzwoleniczych. Gdy myślę o tym, odległa Warszawa wydaje mi się być bliższa walczącego Sajgonu. I niezbyt dalekie wydają mi się od dziesięciu poludniowowietnamskiej nasze lasy z partyzantkami mogiłą.

W Polnocnym Wietnamie rozwija się od roku ruch współwzrostu w pracy i walce pod hasłem uczczenia pamięci Nguyen Van Troi. Znane są nazwiska członków samobrony robotniczej w zakładach mechanicznych w Hanoi, które jako pierwsze, ruch ten podjęły — wręczam młodej żonie poległego bojownika.

Jego imię i pamięć spotykam wszędzie podczas mojej wędrówki przez walczący Poludniowy Wietnam. Czyni ludzi takich jak on stałą się bowiem zarówno poprzez historię, jak przez poezję i pieśń wspólnym dobrem wszystkich, którym drogą jest walka o wolność.

Wyka proponuje „spostrzeć na „Popioly” jako na scenariusz i dzieło filmowe o własnej konsekwencji i kompozycji. Istotnym momentem artykułu jest obrona tak atakowanego zakończenia filmu. Nie można było pozostać w tym wypadku wiernym powieści: „Zakończenie „Popioly” wedle Wajdy (...) jest artystycznie konsekwentne i w stosunku do tekstu i fabuły politycznie przemysłowe”. A wniosek generalny? Wykl. brzmiał: „Kłopoty, a tym samym zburzenie polskiej przyrody dzieła rzeczywistości”. Napisał to po dwukrotnym obejrzeniu filmu. Gdyby inni recenzenci to zrobili, nie naciągali by tyle.

Przejdźmy do innych spraw, nieco przylgnęłyśmy dyskusja o „Popioly”. Szkoła, która wchodzi w ważny etap reformy stanowi częsty temat publicystyki. W „Głosie Nauczycielskim” J. Sterczyński upomina się „o skuteczną pracę wychowawczą”. W dyskusjach o reformie szkolnej wiele się mówi — pisze autor — o programach i dy-

DEPESZE GRATULACYJNE

(Dokończenie ze str. 1)

ZESPÓŁ „KAMENY” W LUBLINIE

pisaniem społeczno-kulturalnym czterech województw, wśród nich również i naszej bogatej w tradycje społeczno-kulturalne Ziemi Kieleckiej. Działacze kulturalno-oświatowi naszego województwa na bieżąco śledzą pracę Waszych publicystów i pozytywnie oceniają ich ogromny wkład pracy dla popularyzowania postępowych tradycji i dalszego rozwoju socjalistycznej kultury. Ze szczególnym uznaniem odnoszą się oni do artykułów traktujących o problemach naszego województwa.

Mamy nadzieję, że bogata problematyka społeczno-kulturalna naszego regionu będzie w „Kamieniu” uwzględniana w jeszcze szerszym zakresie.

W tej też myśli, w imieniu ludzi pracy Kielecczyny, w imieniu Komitetu Wojewódzkiego PZPR i swoim własnym przesyłam Wam najlepsze życzenia dalszego rozwoju pisma.

FRANCISZEK WACHOWICZ
I sekretarz KW PZPR
w Kielcach

„KAMENA”
W LUBLINIE

20 lat temu została wznowiona po wyzwoleniu „Kamena”, dwutygodnik społeczno-kulturalny, pismo wychodzące od 1933 roku.

Od kilku lat „Kamena” stała się pismem obejmującym problematykę życia kulturalno-socjalnego czterech województw, w tym również Kielecczyny. Z zadowoleniem powitaliśmy ten fakt, tym bardziej, że Ziemia Kielecka nie ma w obecnej chwili swojego pisma społeczno-kulturalnego. Publicystyka społeczno-kulturalna obejmująca tematykę Ziemi Kielecką bardzo wydawniczo pomaga nam w rozwoju życia społeczno-kulturalnego regionu, sprawia też ona, że „Kamena” jest na naszym terenie coraz bardziej poczytna.

Wszystko to napawa nas dużym zadowoleniem. Wasi publicyści coraz głębiej sięgają w rejony życia społeczno-kulturalnego regionu kieleckiego. Wyrażamy im za to duże uznanie. Z okazji Waszego pięknego jubileuszu, 20-lecia wznowienia po wojnie „Kamena”, przesyłamy całemu zespołowi nasze najlepsze życzenia dalszego rozwoju pisma na terenie budującej socjalizm Kielecczyny, dalszych osiągnięć w pracy publicystycznej i w życiu osobistym.

Inż. ANTONI MIERZWIŃSKI
Przewodniczący Prez. WRN
w Kielcach

„KAMENA” — LUBLIN

Z okazji uroczystości jubileuszu 20-lecia wznowienia działalności „Kamena” w Polsce Ludowej Prezydium MRN w Lublinie przekazuje naczelnemu redaktorowi, Tow. M. A. Jaworskiemu, oraz całemu zespołowi redakcyjnemu, najserdeczniejsze życzenia i podziwowania. Wasza działalność związana jest niezerowanie z życiem naszego miasta, a problematyka, którą podejmujecie, zasługuje na wyróżnienie i uznanie.

Zyczymy dalszych sukcesów w pracy dla dobra i pełnego rozwoju kulturalnego naszego miasta oraz całego regionu.

Przewodniczący MRN w Lublinie
MIECZYSLAW MARTYN

Ten właśnie, jubileuszowy numer „Kamena” zamyka dwa dziesiątki lat historii pisma w Polsce Ludowej. Dwadzieścia lat! Tyż ich upłynęło od momentu, w którym — jak pisał w ubiegłorocznym „Zyciu Literackim” w swoim artykule pt. „Moje dwadzieścia lat” — zasłużył założyciel „Kamena” Kazimierz Andrzej Jaworski: „Dzięki subwencji państwowej wznowiłem „Kamena”, która wraz ze mną przeniosła się wkrótce do Lublina”. Dwadzieścia lat! Nie licząc lat poprzednich.

Jaką tu miarę zastosować w ocenie mijającego czasu? Liczyć tylko lata? A może zsumować poszczególne numery „Kamena”? Byłoby to sprawiedliwe, gdyby lata te były do siebie podobne, ale przecież tak nie jest. Wymagałybyśmy szeregu postaci, tych od „pióra” i tych od „techniki”, i na nazwiskach budować ocenę jubileuszowego zlatu! Ale to jeszcze nie to. Coż więc proponować? Może więc, jeśli z odwołaniem do dzisiejszego czasu nam się jawi jako czas walki i oporu, pełny i bogaty w polskie społeczeństwo i osobisty — szukać kryteriów tej miary? Sądzę, że tak! A więc o ile prawdziwym świadectwem tych lat, ich autentyczną kroniką była „Kamena”, to być jej jubileusz nabiera ceny i wartości.

Teraz, u progu następnego okresu działalności, przesyłam pracownikom Redakcji „Kamena”, tym, którzy nimi byli, i tym, którzy nimi są — najlepsze życzenia i podziękowania za poniesiony trud.

Jest przecież „Kamena” twarzą już elementarną obrazu lubelskiej kultury. Miała i ma swoje wzloty i upadki, ale wciąż nabiera koloru, nie tylko barwnością swojej szaty graficznej.

Z intencją, by jeszcze lepiej służyła sprawie upowszechnienia wartości społecznych i kulturalnych, życzymy jej dużo sukcesów: i tych w województwie lubelskim i w sąsiednich województwach, do których dociera coraz licznie.

Kierownik Wydziału Kultury
Prez. WRN
Mgr ZBIGNIEW FRAC

REDAKCJA „KAMENY”
LUBLIN

Z okazji 20-lecia reaktywowania „Kamena” dyrekcja, redakcja i administracja Wydawnictwa Lubelskiego składa Zespołowi Redakcyjnemu tego Czasopisma oraz współpracującym z nim Autorom najserdeczniejsze gratulacje z powodu dotychczasowych osiągnięć oraz życzenia dalszego, wspaniałego rozwoju tego najstarszego w Polsce periodyku społeczno-kulturalnego w sferze kultury socjalistycznej, narodowej i naszego regionu, a Towarzyszom Redaktorowi Naczelnemu, Członkom Kolegium Redakcyjnego i Pisarzom wielu sukcesów zawodowych i wszelkich pomyślności w życiu osobistym.

Dyrektor WL
Mgr ZBIGNIEW KOŚMIŃSKI
Redaktor Naczelny



S PÓR o filmowe „Popioly” nie uciucha, choć głosów istotnych i znaczących jest coraz mniej, chyba że są to komentarze historyków do poszczególnych epizodów historii objętej powieścią Zeromskiego i filmem Wajdy. Na tym tle godna uwagi jest wypowiedź Kazimierza Wyki w „Polityce”. „Popioly” oglądać i dyskutować. Artykuł ten stanowi jakby podsumowanie i rekapitulację dotychczasowej dyskusji, toteż napisany został z pasją polemiczną i porcją znakomicie przyrządzonych złośliwości. A dyskusja to szczególnie, prawdziwie polska: „jeden drugiego po plecach. Nikt nikogo nie krytykuje”.

Wyka proponuje „spostrzeć na „Popioly” jako na scenariusz i dzieło filmowe o własnej konsekwencji i kompozycji. Istotnym momentem artykułu jest obrona tak atakowanego zakończenia filmu. Nie można było pozostać w tym wypadku wiernym powieści: „Zakończenie „Popioly” wedle Wajdy (...) jest artystycznie konsekwentne i w stosunku do tekstu i fabuły politycznie przemysłowe”. A wniosek generalny? Wykl. brzmiał: „Kłopoty, a tym samym zburzenie polskiej przyrody dzieła rzeczywistości”. Napisał to po dwukrotnym obejrzeniu filmu. Gdyby inni recenzenci to zrobili, nie naciągali by tyle.

Przejdźmy do innych spraw, nieco przylgnęłyśmy dyskusja o „Popioly”. Szkoła, która wchodzi w ważny etap reformy stanowi częsty temat publicystyki. W „Głosie Nauczycielskim” J. Sterczyński upomina się „o skuteczną pracę wychowawczą”. W dyskusjach o reformie szkolnej wiele się mówi — pisze autor — o programach i dy-

skutni, bez ustępów, bez śmiechów, bez czystej wody, z niedomykającymi się oknami, ze źle ustawionymi piecami żelaznymi, groźnymi oparzeniem i zaciemnieniem”.

„Widnokrąg”, kulturalny dodatek „Nowin Rzeszowskich” interesuje się przede wszystkim sprawami regionalnymi i wszechstronnie stara się informować o swoim terenie oraz o zjawiskach z nim związanych. Między innymi J. Grydzik, kiedyś kreślił sylwetkę J. B. Obidkiewicza kreślił sylwetkę J. B. Obidkiewicza, powstającego z Rzeszowa, oraz przedstawia grafikę z Rzeszowa. Z. Koźłowski, W. Miast na przelocie Starego — i tak! I pokazuje rolę humanisty — w fałszywej psychologii i socjologii — w fałszywej psychologii i socjologii — pisze autor, podbudowując to — nymi i ciekawymi przykładami — „ekspertki wykazały swoją pracę, że są potrzebne przedsięwzięcia dydaktyczne, organizacjom politycznym oraz władzom, która początkowo odnosiła się do nich z nieufnością”.

T. K.



„W metryce zapisano: Chelm, Reformacka, numer... (43)”
Fot. A. Polakowski

ZDZISŁAW POPOWSKI

Życiorys

Urodzona w 1933 —
z matki Poezji — gwiazdy świecącej wysoko.
Był wrzesień —
pora dosyć i owoców.

Ojciec, jak mówią kroniki,
w grzywie włosów natychmiast nesił,
dla tego imię urodzonej —
echem żywiołu i wiosen.

W metryce zapisano:
Chelm, Reformacka, numer...
bo nawet pieśni potrzebny
ten metrykalny dokument...

Nielatwo było z imieniem,
gdy tyle Muz na świecie,
ale do serca jedna
przypadła ojc-poezie.

Tej jednej uczył się sławy
i własną młodość jej oddał:
KAMENA — to tak aksamił,
blask wody, żywiołu oddech.

Urodzona w 1933 —
z matki Poezji — gwiazdy świecącej wysoko,
po ojcu — słowiańskim wierszem —
zbliza, jednoczy, łączy.

Zawsze Dwudziestoletnia
panna — z kółką w woskach.
Mówi: „Byłam i jestem
w służbie młodości.

Na ziemi lubelskiej — w Lublinie
zbieram barwy i dźwięki.
Dla wszystkich!
Niech będzie jaśniejszy
i piękniejszy.

1965

Słowo przed Zjazdem

ZBLIZAJĄCY się Zjazd Związku Literatów Polskich stanowi okazję do rozważenia poglądów dotyczących ideowej funkcji literatury. Zagadnienie to formułuje się często w uproszczonej postaci: „partia a literatura”, przy czym samo sformułowanie brzmi jak „Mane, tekel, fares”. Jakby postawienie zagadnienia, a nie treść przesłanek miało znaczenie dla zawartości wniosku.

Obawa podpowiada, że skoro sprawy literatury rozpatruje się w takim kontekście, nie dojdzie do wokandy cała złożona specyfika twórczości, wyrok więc zapadnie przy niekompletnym stanie akt. Obawa ma podstawy „historyczne”, na dowód jednak, że uległy one istotnej „nowelizacji” warto przytoczyć dwie okoliczności. Pierwszą jest przy wielu okazjach i wyrażnie wyrażona opinia, że zainteresowanie społeczną wymową dzieła wyłącza tendencję mechanicznego podrzucania mu gotowych wzorów, a już specjalnie unika ingerencji w sprawy tzw. warsztatowe. Drugą — praktyka wydawnicza ostatnich paru lat, w ciągu których aż zdezorientowany rozgardzaniem stylizacyjnym czytelnik wcale nie wyrobił sobie przekonania, że podsuwa mu się utwory preparowane pod kątem politycznej lopatologii. Wystarczy zacytować prawie dowolny fragment współczesnego wiersza, a nie potrzeba przy tym wykazywać, jaką część puli wydawniczej i objętości czasopiśmienniczej zajmuje poezja.

Ala nie to jeszcze stanowi istotę zagadnienia. Dla wielu dyskutantów z obu stron ważna jest odpowiedź na pytanie, czy oczekiwanie podjęcia ideowej i społecznej funkcji przez literaturę nie jest wprowadzeniem zakłócającego czynnika w obszar spraw takich, jak swoboda postawy twórczej, zgodność z artystycznym sumieniem, nieskrepowanie w przekazywaniu wizji itp? Pojęcia daremnie podkreślać, w jakiej formie znajdujące się w odczuciu każdego zrealizowanego artysty.

Ala mieć obawy o ich znieglębianie można tylko wtedy, kiedy się stawia znak równości między ideowym zaangażowaniem a artystyczną sztafą. Był czas, kiedy zamiar inspirowania literatury w kierunku jej społecznego oddziaływania przybierał postać kontroli

nad stylem, forsowania jedynie, a wtępowanie pojmowania wcale nie realistycznej konwencji. Mało. Utwory wynikające z innych, aniżeli administracyjnie lansowane założeń stylizacyjnych miały ograniczoną, jeśli nie uniemożliwioną drożność do czytelnika w sposób po prostu mechaniczny. Kiedy się więc wysuwa ten element wymowy dzieła, który ma związek z jego oddziaływaniem na rzecz ideologii, pamięć z nawyku dokonuje przetrzaski, w te skazaną wielu błędami przeszłość podejrzewając jej recydywę na zasadzie samego podobieństwa terminów. Nie zważając natomiast na zmienioną rolę, z jakiej zewnętrznie, a więc pozornie nie te same propozycje się wysuwają. Nie jest chyba tym samym postulatem, by literatura skutkowała na rzecz sprawności kampanii cukrowniczej, czy zaorywania ugorów — i oczekiwanie od tej literatury wprowadzenia w światopoglądową orbitę współczesnego człowieka pojęć współbrzmiających z konstruktywną tradycją humanistyczną.

Ważna jest również inna zmiana: przesunięcie kontaktów literatury — polityka z gabinetu arbitralnych rozstrzygnięć na płaszczyznę dyskusji filozoficznej. Wszelkie zjawiska towarzyszące życiu literackiemu — np. szeroki dostęp dzieł i kierunków artystycznych wyrosłych na gruncie kultury nieosobalisticznej — weszły do świadomości na szeroką swobodę tzw. „rynku”, niemal na starą le, tyżaden z wartościowych objawów współczesnej myśli i sztuki europejskiej nie utknął w komorze celnej zbyt rygorystycznie rozumianej polityki. Partia pokładała ufność w intencjach pisarzy, w wierność dla tradycji zawsze żyjącej z narodem literatury polskiej, w umiejętności realistycznej oceny ostatnich dwudziestu lat. Nie oczekuje łatwej, pochopnej afirmacji. Wysuwa tylko naturalny w ocenie literackiego dzieła postulat, by proporcje jego barw odpowiadały rzeczywistej kolorystyce widzianego świata.

Obserwujemy wzrost czytelnictwa, ogromne zainteresowanie literaturą ze strony masowego odbiorcy. Nie znaczy — bezkrytycznego. Nie można nie doceniać faktu powstania nowej kategorii społecznej: współczesnego czytelnika. Czytelnik ten bynajmniej nie pragnie

nie papki spitzarskiej według receptury podanej przez doktora Paula, a podchwyconej przez konkluzjonalnych „chaturuszyków” ale wymaga rzetelnego obrazu naszych konfliktów, zmagań i trudności, chce mieć w literaturze mądrego świadka swego losu, i to jest kryterium artystyczne. Historia wykazuje, że jedyną weryfikacją dzieła jest jego weryfikacja na szerokim tle odbioru.

„Socialistyczna literatura”, zaangażowana literatura, to bynajmniej nie terminy dla prac teoretycznych. W samym życiu literatury, w procesie jej gorączkowego i bolesnego przesadzania się ku nowym formom ważne jest, by nawierała te czynniki, które pomagają człowiekowi marzyć i pragnąć, jaśniejszym czołem przywitać dzień jutrzejszy.

JOANNA ŻWIERSKA

Ocalona

BYŁA prawie taka, jaką zapamiętałam sprzed wojny i jaką odnalazłam pewnego dnia w okupacyjnej ulicy. Urodzona, poszłam z nią na konsypacyjne spotkanie. Koledzy studenci dziwili się, skąd ja mam i cieszyli się bardzo, że jeszcze ją widzę.

Toteż, kiedy znów ją spotkałam po wojnie, trochę jakby szczuplejszą, lecz o tym samym wymiarze, a chociaż dla jej powojennych narodzin była jak najbardziej widoczna, przecież wydawała mi się, że niewiele się zmieniła, że jest właśnie taka sama, jak tamta. Jeszcze dziś pamiętam moje wzruszenie na jej widok, moją chęć do oglądania jej na wszystkie strony i obawę, że zaraz ucieknę od mnie lub odleci się zaprzeczając, rozplynie w powietrzu i zniknie. Im dłużej jednak patrzyłam na nią, tym więcej zaczęłam widzieć, że to moje serce, bowiem wtedy, po powrocie do kraju, po tulaczu w objęciach jenieckich, trudno było mi przyzwyczaić się do życia na nowo, zaporne też dlatego nie mogłam z początku wierzyć, aby i ona wraz ze mną ocalała i tak samo jak ja, jak tysiące ludzi, zaczynała żyć, istnieć, tworzyć.

Żył może się to wydać dla kogoś nawet śmieszne, na pewno zbyt egzaltowane, ale doskonale przypominam sobie, że wówczas jak najserdeczniej ją ucałowałam i powiedziałam do niej: więc jesteś, więc żyjesz, „Kameno”. Było to jedyne pismo, które w ten sposób powitałam, z którym udalałam się do rozmowy jak z przyjaciółm, żywym, odzyskanym. A przecież nigdy do „Kamenu” nie pisałam, miałam w swoich rękach najwyżej dwa numery tego pisma przed wojną i one dwa kupione pod rozważanym murem na okupacyjnej ulicy — kiedy to stary człowiek wyłożył na ceglanych starożytnościach, wśród których zauważyłam wtedy „Kameno”. Ale potem, to powstaniu, miało sto wałito się w gruzach, później drugi jeniecki przystąpił do świąt i wolności — to musiał być potrzebny były jakiegokolwiek „Kamenu”. Jednak chyba były potrzebne, jeśli na przyszły jeniecki pismo, niby-teraz nieby-namienik. Przechowywałam jeszcze tamte zapożyczone kartki z wyciążonego spod wojennego opinia czytelnika — są one dokumentem okrutnego czasu, który chociaż minął — trwać ciągle — jest we mnie — przemieniać nie chce, zbyt mocno wrył się w moją pamięć.

Spotkanie przed dwudziestą laty z urodzoną po wojnie „Kameno” sprawiło to, że poszłam do niej jenieckie wiersze i kilka kartek wspomnień obywatelskich. Zostały wydrukowane. Redaktorzy „Kamenu” Kazimierz Andrzej Jaworski napisał do mnie, zachęcał do dalszej twórczości i to dzięki Niemu właśnie zobaczyłam w „Kamenu” w 1946 r. Wtedy jeszcze raz dziękuję Mu za mądre słowa, za wszystkie przyjaźnie i pełne dobroci listy, które pomagały przetrwać nieraz najeższe chwile, jakich nie szczeniło mi życie i po wojnie.

Dalsze „Kameno” jest tchnięciem i to samej koncepcji — ale zawsze ułtamt jak kogoś bliskiego, kogoś się ceni i serdecznie, z wielką czułością pamięta.

(Dokończenie na str. 15)

WALDEMAR WYBENICZ

180 kilometrów od Warszawy

PANIKA ogarnęła ludzi, czy co u licha? Nagle zaczęli wszyscy mówić o wyjeździe. Codziennie nadchodziły alarmujące wieści. Wyjechał poeta Jan Bolesław Ożóg. — Jak to wyjechał? Zupelnie? — Zupelnie. — Przeniósł się do Krakowa. Podobno mówił, że w Radomiu zgnańszenie. Wyjechał Jan Maria Głogus, a później znakomity tłumacz Jerzy Jędrzejewicz i wielu, wielu innych. Najdłuższy tkwił w Sandomierzu Wincenty Burek, ale i ten pewnego dnia, zasn-prast, spakował manatki i przeniósł się do stolicy.

Namówiłem kilku przyjaciół. Jeśliśmy podróżować po kraju. Tłumaczyliśmy w Warszawie, w Krakowie, w Poznaniu, nawet we Wrocławiu: — Dobrzy ludzie, u was jest gęsto od nasirry a w Kieleckim niosucha. Przylećcie do Kiele, damy wam mieszkanie i urzędzicie się jakoś, a do przy miejscowej szacie, a to przy jakimś mieczniku.

Najczulszniej odniósł się do koncepcji Otwornowski w Krakowie. Zwołał specjalne zebranie, zachęcał, mapę nawet przyniósł, wyciągnął ilustracje ze starych roczników, felieton wygłosił o pięknej, prastarzej ziemi, ziemi ojców naszych. Owazem, skusiło się, pamiętam, kilku poetów, prozaików, jeden krytyk. Zjechali do Kiele, ale nie wyszło. Przyszła grupa tubylców na sztywnych nogach. Obie strony obwahały się. Gościom zadawano prowokujące pytania. Odjechali rozgoryczeni.

Wtedy zaczęliśmy zwozić ex-kieleczan, takich którzy chodzili tu do szkół i takich, którzy odeszli stąd na sakry, chwycili wiatr i dochrapali się szumnych tytułów. Urządzaliśmy zjazdy, ludzi pochodzących z Kielecczyny bądź związanych z nią

sentymentem”. Nawet się te zjazdy udawały. Ten i ów rozrzewnił się do łez, ten i ów przysięgał na Zamość Kieleckim, że wróci jako ten syn marnotrawny, że już nigdy, przenigdy nie opuści najpiękniejszej krańcy Wielkiego Stefana. Byli i tacy, którzy zabierali na pamiętną piasek z Ciekot, drzazgę z Bartka, kamyczki z Łysicy. Odjeżdżali, szlochając, i nie wracali.

— Może nie umiemy stworzyć właściwego klimatu? Może nasze argumenty nie są przekonujące? A może coś tu traci anachronizmem? Zalamywalimy ręce, szukałiśmy moźnych mecenarów, odwoławaliśmy się do najwzyczniejszych autoritetów.

Teatr oderwał się najwcześniej. Za nim dopiero poszli plastycy, rzemieślnicy.

Nagle cała Polska zaczęła mówić o kieleckim Teatrze. Krytycy i w superlatywach, złościwie i z zachwytem. Ze na prowincji najciekawszy, że poszukujący, że repertuar zaskakujący, że skromna w etyka nie może pomieścić wszystkich dyskutujących. Ludzie walcili tłumnie do teatru. Jedni, że byli istotnie ciekawymi, inni z pobudek snobistycznych. Ze stolicy zjeżdżali krytycy i poszukiwacze przygód, ludzie teatru i cmokeley. We wszystkich tygodnikach teatralnych roilo się od fotofosów i artykułów dyskusyjnych o „interesującym eksperymencie kieleckim”. A przecież aktorzy byli ci sami, nie importowano ani jednej gwiazdy. Owszem, zmieniło się kierownictwo, zmieniła się koncepcja, polityka reperturowa, ustaliło się funkcje społeczne, rangę teatru, i nagle aktorzy kieleccy zasłynęli w całym kraju. Po sezonie leli zjechać do Kiele potencjał teatru, od filmu Duma rozszalała nam piersi, kiedy zobaczyliśmy po

raz pierwszy naszą aktorkę na ekranie. Za nią poszli, poszli inni. I tak się zaczęło.

Jeliśmy szukać ludzi we własnym domu. Okazało się, że są, może skromniejsi, może mniej elokwentni i mniej reprezentatywni, niż doświadczeni i nie mający opanowanego warsztatu.

Okazało się wkrótce, że nasi plastycy mają coś do powiedzenia nie tylko w Kielecach. Rzeźby naszych rzeźbiarzy podziwiano w stolicy i poza krajem. Ha. Nul n'est prophete dans son pays.

Jest korelacja, jest przynajmniej częściowa integracja niektórych grup twórczych. W salach teatru kieleckiego, przystosowanych na ten cel, odbywały się wystawy prac malarskich. Właściwie można już mówić o stałej ekspozycji. W dz wykupie jeden bilet do teatru, ale ma dwie przywilegi: w dowidoku na scenie i ekspozycję w pięknym salonie, którą może sobie oglądać dowolnie w przerwach i po spektaklu. Może nawet pozostać i dłużej na gawędzie z artystami.

Rozwija się gazeta. Czytelnikowi nie wystarczy już skromny czterostoronicowy dodatek „Niedzielnego”. Powstaje „Mazowiecki Niedzielnik” z dwiema sekcjami, małyca dziś 10000 czytelników to znaczny obrotów dla kupujących. Czytających jest trzynaście tysięcy.

W środowisku młodzieżowym mówi się coraz częściej, że sztuka pisanja zaczyna się od... czytania. Zarząd Wojewódzki ZMW ogłasza permanentny konkurs na oznakę czytelnictwa im. S. Żeromskiego. Słusznie wykorzystuje sentyment, może nawet nadmiar sentymentu, do autora „Przedwiośnia”. Tysiące młodych ubiegają się o zaszczytną odznakę: nie wiem, jak jest w innych województwach, ale wydaje się, że

Kielecczyna przoduje w dziedzinie recepcji polskiej literatury współczesnej, bowiem warunkiem uzyskania rzeczonej odznaki, jest przeczytanie pięciu utworów Żeromskiego i pięciu pisarzy współczesnych. Może to i nie jest najłepszy zabieg pedagogiczny, ale ręczę, że w treści, w wypowiedzeniu celniejszych utworów skuteczny.

I oto powstało „Poniedział”. Zamyśli się różni ludzie. W Lublinie bodaj też gdzie indziej jeszcze więcej. A to podobnie było przecież w Krakowie, prawdą? Ktoś to prokował w'ełka karierę Szmaglewskiej, Machajkowi, Holufovi i wielu innym z krakowskiej grupy młodych w latach czterdziestych? Mach też stawał tam pierwsze kroki.

Wtedy ukazała się już trzecia pozycja „Poniedział”. Piękna szkatulka. Po „Matole”, „Mernka”, weszła powieść „Adv Koneckiej”. „Podłotki”. Wkrótce ukaze się ciekawy tomik poetycki H. Jachimowskiego. „Duga nowiści Miernika i powieść Jachimowskiego w „Iskrach”. W przyszłości obserwować można prozatorski całej grupy (tuż w drukarni „Iskrach”) do indywidualnych występów są gotowi i inni członkowie zespołu. I tak oto własnymi siłami, nie bez trudu, grupa doprowadzała się rangi p'ary. Małuczko a w Kielecach powstanie oddział Związku Literatów. Po okrzepieniu Orkiestry Symfonicznej i stabilizacji teatru — wielki dla regionu historyczny sukces.

Czy pomożka „Kameno”? Jakże inaczej? Poniedziałnie z dumą podkreślał w swoich biografjach że debutował w lubelskiej „Kamienie”. Oto realny wynik współpracy czterech województw. Nie jedyny przecież. I dlatego, klanając się nisko

Wiek Dwudziesty

Popiołom Majdanka

Cztery tony popiołów

z pośpiesznie mordowanych tysięcy ludzi —
to na jednego człowieka przypada garstka popiołu —
Oto równanie matematyczne Dwudziestego wieku.

Cztery tony popiołów
lub setki grobów, w których leżą
warstwy ciał (a ziemia przysypuje agonie) —
to na jednego człowieka przypada
garstka ziemi, za którą umarł.

Cztery tony popiołów...
(nie piaz o tym!)
Ludzie są zmęczeni wojną,
a do morderców uśmiechają się
demokratyczni prezydenci)

Cztery tony popiołów
przesypuje co dnia moje serce,
zapomnieć nie może spalonych ciał,
Jestem z Narodu Pomordowanych,
a przecież
dziś
nie świadczą przeciw zbrodniarzom
Cztery tony Popiołów,
najwyżej jeden konający, zabity i zdeptany
butem. Za niego jest kara, mniejsza od mrówki —
Oto logika Dwudziestego wieku.

Zawsze miałam z matematyki nie wysoki stopień,
a logiki jeszcze teraz odmawiają niewiastom,
więc należy wybaczyć mi, że
nie rozumiem Dwudziestego wieku,
Jestem z Narodu Pomordowanych,
którego agonie przysypywał czas
i własna ziemia i tony popiołów,
z których można by usypać wspaniały kopiec
do gwiazd,
ale już wiatr je porozsiewał,
wyrosło na nim zboże
i ciemna chmura chabrow.

Fot. Michał Truchman

Majdankę — lipiec 1944



STANISŁAW WYGODZKI

SZKOLNE ŁAWKI

PEWNEGO razu do-
tarłem do stacji w
N. Wiosna tego roku
nadeszła wcześniej i
gdy wysiadłem z po-
ciagu, nie nazwa, tylko właśnie ten
budynek stacyjny, otoczony drzewa-
mi, kołyszącymi się, jakby w oparce
młodzieńczego listowia, przypominał
mi, że byłem już tutaj kiedyś. Wte-
dy była jesień, na tyle jednak
wczesna, że drzewa nie gubiły jesze-
cze liści.

Budynek stacyjny w N. stoi dale-
ko od miasteczka, wtedy nie zauwa-
żyłem jakos tego, bo oni nas oto-
czyli na peronie, na który wypędzili
wszystkich podróżnych i pogнали i
tak, pędząc nas i poganiając, wska-
zali nam swoim krzykiem, hukiem
motocykli i wystrzałami strach i
przeróżnie. Oni o nic nie pytali, nie
żądali, abymy im okazali doku-
menty, nie przetrzasali nawet torby
i tobołów, dźwiganych przez nie-
których pasażerów, zaskoczonych tą
akcją, tym razem mało drobiazgo-
wa, tak jakby im chodziło o pędze-
nie tej dużej ilości ludzi zwirowaną
drogą, z której zaczął się unosić tu-
man czarnego pyłu.

Wtedy byłem w N. po raz pierw-
szy. Miasteczko położone na piasz-
czystym, stromym brzegu, pokrytym
drzewami i trawą, wysorowało się
na czoło wyniosła wieża kościoła,
która spoglądała na rzeczkę i rów-
ninę przemierzającą przez nas, z po-
nad wysokich drzew. Do tego upar-
tego krajobrazu należała również
droga i most i znowu ta droga, wspie-
nająca się powoli ku miasteczku nie-
ruchomemu i jakby uśpionemu w
tej dziwnej porze dnia, podróży
przerwanej nagle, której zakończe-
nia nikt spośród pojmanych znać
nie mógł.

Kroczyłem wśród ludzi obcych,
przeróżnych, milczących lub usiłu-
jących uzyskać od współtowarzyszy
nieodkryte jakieś zapewnienie lub
bodać cień nadziei, że cała ta histo-
ria skończy się szybko bez utrapień,
choć sam wydzierając się tym
wydawało się złowieszcze i groźne.
Czego od nas chcieli? Dlaczego ka-
zali nam wysiść z pociągu? Po co
pędzili nas do miasteczka?

Nie weszliśmy do miasteczka, bo
tuż za mostem kazali nam opuścić
drogę i zachować, przy pomocy
pędzących tam i z powrotem moto-
cykli, sztyk kolumny, skierowali nas
na płaski brzeg rzeki, nad którym
królowało strome wzgórze z mi-
asteczkiem, niewidocznym już z tego
miejsca i kazali nam przystanąć.
Dopiero teraz zauważyłem, że to, co
w oddali wydawało na płaski, było
pokruszoną gliną przesłoniętą po-
przez lichą trawę i mizerne krzewy,
pokrywające to zbocze. Stałymi w
jego cieniu, było jeszcze dość widno,
a gdy odwróciłem głowę, ujrzałem
rzekę, ciemniejącą powoli; na jej
fali zachodzące słońce wydawało się
rzeźbić szpary światła i tak doleciał
do mnie obraz tego dnia, który mógł
być ostatnim w moim życiu.

U wylotu zwiężającego się w od-
dali brzegu, jakby przyćmiewionego z jed-
nej strony rzeką i przypartego stro-
mym zboczem, stał dom, na który
nie zwróciłem uwagi, ponieważ tam
nie się nie działo: w żadnym z okien
nie plonęło światło, drzwi wiodące
do domu były zamknięte i wydawa-
ło się, że ten budynek zamka sobą
całą tę zwiężającą się w oddali rów-
ninę, pozabawioną zabudowań, drzew,
krzewów. Nie było tam również lu-
dzi.

Ziawili się nieco później, schodzili
zbitą gromadą, drogą snującą z mi-
asteczka w dół, ku rzeczce, ku temu
brzegowi, na którym nas trzymali.
Wśród ludzi, zbliżających się ku
nam, ujrzałem mężczyzn i kobiety,
popłakujące z cicha: niektórzy z pro-
wadzonych przyglądali się nam cie-
kawie, szulając wśród zatłoczonych
szeregów znajomych twarzy, bo-
wiem nasza obecność musiała ich
zastanowić w stosunku do naszego sil-
niejszego, niż ich pojawienie się tu-
taj, ponieważ ich, mieszkańców tego
miasta, można było w każdej chwili,
o dowolnej porze, wypędzić z włas-
nych domów.

Zapadał zmierzch, widziałem jego
zjawienie się na tej stromej, glinia-
nej ścianie prosiwej rzadką trawą,
widziałem go również na twardych,
mających mnie ludzi: przechodzili
przytłumionym krokiem i gdy czoło
pochodu znalazło się w pobliżu tego
oddległego domu, ci, którzy zamykali
pochód, weszli w cień stromej zbro-
czy. Było ich sześciu i szli za tamty-
mi w pewnej odległości, dwójkami
i każda dwójka dźwigała ławkę
szkolną, największą szkolną ławkę
dla dwójki dzieci, z oparciem i
tym skośnym białym, z otworami na
kałamarze i półeczką pod nim, na
która uczniowie kładli swoje śniada-
nie i przybory szkolne. Za tą sześciu-
dówką, dźwigającą ławkę, szło kilku
uzbrojonych Niemców i dopiero ich
swobodny krok uprzytomnił mi, że
jaka sztywna ostrożność ludzi,
wyprowadzających ich, dźwigiła swoje
ławki.

Do czego miały służyć? Dla kogo
były przeznaczone? Jakże smutne
widowisko przygotowali Niemcy,
którzy kazali przynieść tutaj te ławki
posmarowane i poplamione atri-
amentem i porysowane uczniowskimi
kozikami?

Czoło pochodu stało przed tam-
tym domem, Niemcy krzykiem i cio-
sami korb przystąpili do wyrówny-
wania szeregu, zaś tej sześciu, dźwi-
gającej ławkę, kazali podejść pod
stromą ścianę wzgórza, gdzie wśród
wysokich i białych ustawili je w jeden,
wyrównany rząd, tak że my, zebrani
na brzegu, mieliśmy przed sobą
te trzy ławki, jak w jakiejś klasie
na wolnym powietrzu, w świetle sa-
czącym się leniwie i wśród szmeru
fali, który nas dobiegał teraz, ponie-
waż cisza, jaka zapadła, była ogrom-
na i niemiernie wyraźna. Tych
sześciu, dźwigających do tej pory
ławki, wepchnęli w tłum i teraz,

milcząc, staliśmy razem, zwrócenii
twarzami ku glinianej ścianie i law-
kom ciemniejącym u stóp wzgórza.

Wtedy to z głuchym loskotem zje-
chał drugi, snując się z miastka ku
rzeczce motocykl Niemiec, prowadzą-
cy wehikuł, pochylili się, jakby się
przyglądali uważnie drodze, nato-
miast drugi, śledzący w przyspiesze-
niu, przyglądał się podczas tej hałaśliwej
jazdy iwarom zebranych. Na widok
tego Niemca, jego oczu, zapra-
gnąłem wycofać się do tyłu, to samo,
co ja, odczuł zapewne wszyscy lu-
dzie, stojący w pierwszym szeregu,
ale ci, którzy czekali za naszymi plec-
ami, stali twardo i nie chcieli się
rozstąpić, ponieważ oni również
ujrzeli twarz i oczy tego nierucho-
mo śledzącego Niemca, więc opierali
się, by nie stracić swego dogodnego
miejsca, dającego schronienie.

A potem, gdy ta dwójka mijala
już ławki, motocykl zatrzymał się i
ten w przyczepie dźwignął się, wy-
skoczył, po czym ruszył przed siebie,
zmierzając ku ławkom, którym się
przyjrzał z niewielkiej odległości,
następnie dał ręką znak temu pierw-
szemu i ten pojechał w kierunku od-
dalonego domu.

Niemiec, który został, oparł się o
ławkę, stojącą z brzegu, zapalił spo-
kojnie papierosa i zaczął przyglądać
się zebranym, zaś zmierzając usuw-
ał się coraz wyżej i śledził już niemal
szczytu wzgórza, którego krawędź
migotała jeszcze rysa blasku, ale
niebawem i on zgasł.

Nagle zabiły światło w oknach
tamtego oddalonego domu, otworzy-
ły się drzwi i w rosnącym chęście
kroków ujrzałem niewielką gro-
madkę ludzi. Jeszcze nie wiedziałem,
co to wszystko znaczy, ale już czu-
łem że grozę przyzwoją, nieodczy-
dowaną, już obecna. Poglębił ją
szep. A gdy tamci, strzeżeni, zbli-
żali się, zmierzając wyraźnie ku law-
kom, Niemiec, stojący tam do tej
pory, poruszył się. Nie odwrócił dale-
ko, on czekał na tych ludzi, przesu-
wających się powoli z krawędzi tego
wskiego brzegu ku glinianej ścia-
nie. Niemcy, strzegący ich do tej po-
ry, odstąpili i zaczęli krążyć wokół
sześciu mężczyzn, zbliżających się
do ławek. Szli zesztywniali, ponie-
waż ręce związane mieli na plecach.
Niemiec, oczekujący nadejścia grup-
py, podszedł do przybyłych i dlonia,
jakby po omacku, wskazał ławkę, do
której tamci zaczęli się usuwać,
jeden za drugim, umieszczając
ostrożnie ciał w ciasnych pomieszc-
zeniach tak, by mogli wraz z kor-
pusiem przesuwać nogi. Ujrzałem
twarze tych ludzi. Nieprzeniknione
i zmartwiałe miały na ustach białe,
szerokie pasma gipsu, sztywne ban-
daże, takie same, jakie widywałem
podczas egzekucji ulicznych. I nie
mogąc wypowiedzieć ani słowa, sie-
dząc po dwóch, ze ściśniętymi ko-
lanami i ciałami przechylonymi po-
nad okonek blaty, jakby z tyłu po-
pychano ich ku temu niknącemu

światłu dnia, od którego, niemi, nie
mogli odwrócić oczu. Bo tam, za na-
mi, odsłaniał się dla nich widok sze-
rokiej rzeki z rąbkami blasku na fa-
li i oddległą linią horyzontu, ciągną-
ca za sobą noc.

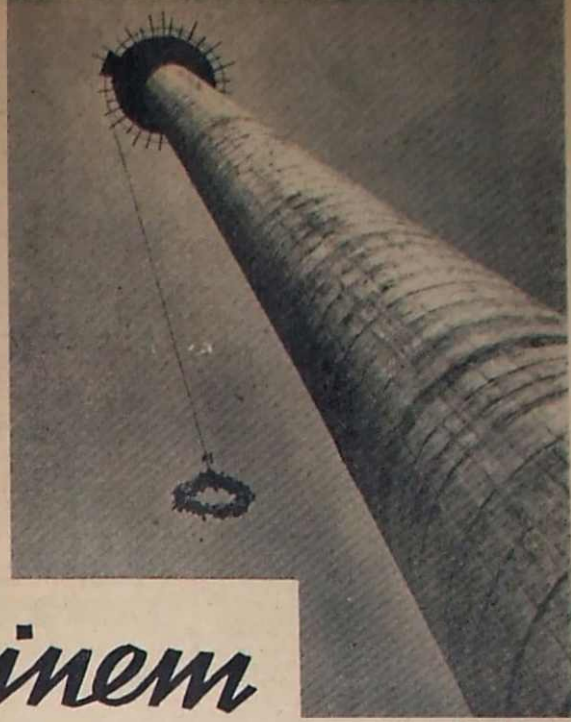
— Oni nauczali, a nauka jest za-
kazana — powiedział ten Niemiec,
który zajeżdżał tu w przyczepie mo-
tocykla i słowa te powtórzył po pol-
sku małenki, żalony człowieczek,
stojący u jego boku. Stał tam i nie
puszczając oczu z twarzy Niemca
zdanie jego powtórzył szybko, jak
by go słowa parzyły i sprawiały
ból.

— Dlatego nauczyciele na tych
ławkach — powiedział Niemiec, a
tłumacz znowu powtórzył to zda-
nie, wykrzykując je w stronę Niem-
ca, a ten zszedł tłumacza przez
twarz i kazał mu to zdanie powtó-
żyć nam, stojącym na brzegu i ten
żalony człowieczek jeszcze raz wy-
krzyknął po polsku; dlatego wymie-
rzona im zostanie kara na tych
ławkach.

— A podróżni — powiedział Nie-
miec — opowiadają w miejscu swego
zamieszkania, co tu widzieli, aby
nikomu więcej na myśl nie przy-
szło uczyć kogokolwiek na tym ob-
szarze niemieckiej władzy.

Tłumacz powtórzył również to
zdanie, potem Niemiec odszedł szyb-
ko, tłumacz pobił za nim truch-
cikiem a przed nami były już tylko
te trzy ławki z sześcioma nauczy-
cielami o zagipsowanych ustach —
twarze w połowie otykowane, w
połowie popękane, z szerszami na-
czu. I ściśnięci, w ciasnocie naru-
conej im, krepując, patrzyli prosto
na nas, a myśmy brali od nich mi-
czenie i uderkę i nie widzieliśmy
nadejścia plutonu egzekucyjnego,
który ustawili się zwartym szre-
giem, plecami do nas, mając przed
sobą stromą glinianą ścianę wzgór-
za i te ławki, w których sied-
mioletnie dzieci, a teraz wynurzały
się z nich nosy i głowy dorosłych ludzi.
Niktory przebiegli stąpali, jak-
by w tej chwili ostatniej przęgli
znaleźli dla ciała lepsze oparcie.

Huknęła salwa, głowy nauczycieli
opadły, niektóre ciała pochylili się
opieszale, a te z brzegu jakby się
przejęli i echali runąć na ziemię
i wtedy rozległa się druga salwa, a
ja nie odrywając wzroku od ludzi i
ławek widziałem, jak po raz drugi
skierowali nierówny płomień salwy
ku ławkom, pulpitom, oparciom,
mimo iż zabił leżał już z odrzu-
nionymi głowami, ale ci z plutonu
chcieli mieć całkowitą pewność, że
nie tylko nauczycieli uśmiercił, lecz
również te ławki posmarowane
atramentem, porysowane kozikami
i poplamione krwawizną krwi, która
pociekła w poprzek i nierównie.



Fot. S. Papciak

ROMUALD KARAŚ Pejzaz z kominem

Od momentu wydania decyzji o budowie Azotów śledzę dzieje wielkiej budowy. W reporterskim notatniku kreszę lapidarne notatki. Czy moje spostrzeżenia właściwie uwzględniają proporcje światła i cienia? Czy odpowiadają kierunkowi przeobrażeń? Czy są świadectwem procesów przemysłowych? Czy zawierają ślad ludzkich losów, zmagania, osiągnięć i porażek?

— Taki kawał lasu wyciąć — zbrodnia! Kilka kilometrów dalej — pacy. Tam właśnie należało budować kombinat. Ale nie... Uparli się... Postawili na swoim!
— Cóż — trudno. Kilkaś hektarów lasu trzeba poświęcić. Lepiej lokalizację niż można znaleźć. Zresztą kombinat w kilka miesięcy wyrówna straty. Produkty organiczne zaoszczędzą tysiące hektarów lasu. Spłacimy z nawigacją zaciągnięty dług.

— Straty przyrodnicze są niepomietowane. Lasu nikt nie przywróci. Przyroda się jednak czyni...

Rozsiedli się na skarpach ogromnego wykopu. Na dnie lejła wmurowany akt erekcyjny pod fundamenty elektrowni. Były dźwięki hymnu narodowego, słowa przemówień o Azotach, w przyszłości — wielkim kombinacie chleba.

Patrzyłem na ich twarze osmałone wiatrem. Zdradzały niepokój wyekspozycji: kiedy uroczystość się skończy, a oni wyrwą się do swoich wiosek, aby korzystając z wiosennej pogody, podnieść robotę w polu. Większość z nich pod pachami trzymała bochenki chleba. Te bochenki chleba wzięzione z Azotów na wieś wydały mi się czymś więcej, niż symbolem...

Wczoraj sugerował mi inspektor bhp, abym zrobił wywiadzik z robotnikami, który zdał na bardzo dobre egzamin z przepisów o bezpieczeństwie i higienie pracy. Zgodziłem się.

Dziś przyjechałem za późno. Robotnik już nie był. Zmiałdżyły go betonowe płyty. Śmierć poniósł wskutek rażącego nieprzestrzegania przepisów bhp.

Jaką wartość miała wczorajsza piątka?

Czterdziestotonowy dźwąg Herkules, przesuwany po szynach obniżył jedną z szyn o dwa centymetry. Dwa centymetry o dół dały ponad metrowe odchylenie dźwigu na jego szczyście. To grozi awarią urządzenia. wypadkami...

Niebezpieczeństwo zażęgała brigada Wacława Szlendaka. Robotnicy podbijają kamienie pod podkłady z szynami.

Szlendak, jakby na przekór teozom pewnych socjologów, choć przynależny do warstwy tzw. chłopów-robotników, prac przy budowie Azotów

traktuje jako swoje podstawowe zajęcie. To typowy przedstawiciel tej grupy robotników, którzy — jakkolwiek związani posadą na wsi — zdecydowali się na pracę w budownictwie, przemyśle, transporcie.

Trwa run na miasto. Ceny wynajmowanych miejsc w pokojach podskoczyły do pięciuset złotych. Prosperity zapowiada się długa, bo ciągle trwa batalia o robotników. Wbrew pozorom rozeznaniem rejon Zakładów Azotowych nie jest jakimś wielkim zagłębiem siły roboczej. Wskazują na to opracowania Komitetu Badań Rejonów Przemysłowych PAN.

Puławy leżą na „styku” trzech województw, między dwoma ośrodkami ciężkiej siły roboczej (Lublin — Dęblin), oraz na terenach charakteryzujących się wysokim zapotrzebowaniem na sezonowe prace rolne, szczególnie przy uprawie buraków cukrowych, truskawek, chmielu. Stąd dużego znaczenia na-

Do tej pory byli sobie równi. Teraz jeden z nich jest kierownikiem, drugi — tylko mistrzem, choć z uniwersyteckim dyplomem magistra chemii. To wynik postępującego procesu różnicowania załogi. Ktoś go określa: „przybrywa poganiaczy mulów”. Jakby na potwierdzenie tego rodzaju przykład.

Kierownik działu, inżynier, zwraca się do mistrza, magistra:

— Słuchaj, jestem dzisiaj taki zapracowany, może byś umył mi samochód?

Co odpowiedzieć? Jak zareagować?

Stanisław Grzywacz z Golebia pod Puławami zaczynał pracę jako cieśla w Nowej Hucie. Potem kolejno miał poza sobą Świdnik, Stalową Wolę, Rejowiec, Chelm, Poniatową, Wierzbicę, puławski Bacut, Brygadzią, został już w Nowej Hucie. Kurs mistrzowski skończył w 1953 roku w Poniatowej. Do Azotów zgłosił się jako pierwszy robotnik.

bia odpowiednio sprawna i elastyczna organizacja procesów zatrudnienia.

Na stu sześćdziesięciometrowej wysokości trwa demonia głowicy kolumny elektrowni. Rozbiórka rusztowań należy do najniebezpieczniejszej części robót. Pracę kieruje Mieczysław Wojdyński z Warszawskiego Przedsiębiorstwa Budowy Pieców Przemysłowych. Kiedy po fajerwercie załoga schodzi ze szczytu kolumny na dół — spoglądają na każdego z siedemnastu robotników imponujących odwagą, pracowitością, sprytem. Pokluszono od potu włosy, oziębiały z wysiłku ruchy, przysypany wzrok.

Wszyscy są młodzi. Ich kariera: z zabudowanych wiosek dostali się w wielkie centra przemysłowe, gdzie podjęli jedno z najważniejszych robót. Między bajki trzeba włożyć ich miłość do kolumny, do pracy na zawrotnych wysokościach. Pociąga zarobek, gruby pieniądz, który czyni z nich Krezusów w porównaniu z innymi pracownikami. Odpowiada im solidarność wysiłku, koleżeńskość w ciężkiej, niebezpiecznej pracy. Mają swój zawodowy honor: tworzą jedno z najlepszych przedsiębiorstw specjalistycznych budownictwa w Polsce.

Czym się wyróżniają poza pracą? Szeroki gest... Wódka... Dziewczyny... A także bójki...

Gdyby stracili pracę przy budowie kominów? Niewiele widoki. Niczego innego nie potrafił robić.

Grzywacz swoje życie, pracę, przyszłość wiąże z wielkim przemysłem. Swoją fach uważa za najważniejszą ze wszystkich zawodów. Jako majster kieruje pracą sześćdziesięciu ludzi.

— Gdy się który dobrze kapuje — mówi Grzywacz — to go trzeba dać wyżej, do odpowiedzialniejszej roboty.

Takim samym wytrawnym fachowcem jest majster Feliks Kozak z Borowej, koło Dębina. Chłubi się tym, że stawiał pierwsze obiekty Nowej Huty, że — jeśli chodzi o zarobki — nosił miano „kominarza” na wszystkich bez mała budowach gigantach. Przez dwadzieścia lat był bez przerwy „w delegacji”!

Grzywacz i Kozak — symbole „cyganów”. Ludzie, którzy po latach wędrówek po kraju znaleźli wreszcie pracę w rodzinnych stronach, dokąd zawałteli wielki przemysł. Dzięki temu mogli uformować swoje sprawy rodzinne, mieszkać we własnych domach, cieszyć się dziećmi, pomagać żonom. I mieć po ciężkiej pracy należny odpoczynek — czyli, jak w ich przypadku, wziąć wędki pod pachy i powędrować nad Wisłę na ryby.

Jest mimo wszystko smuga cienia w życiu Grzywacza i Kozaka. Ona rodzi pytanie i niepokój: czy będzie robota za lat kilka, za lat kilkanaście? Jakli los czeka budowniczych Azotów? Znowu staną się „cyganami” i rozpoczną wędrówkę po wielkich budowach? A może znajdą zatrudnienie w kombinacie? Jeśli tak, to dlaczego nie prowadzi się szkolenia?

— Panie Zygmuncie, po co pan tam poszedł? Między karierowiczów? — mówili mu poniekądzy znajomi.

A on? Po dwunastu latach pracy wciąż w tym samym małym przedsiębiorstwie, wciąż na tym samym stanowisku był już nie sobą, lecz rutyną. Opanował tu wszystko, czego wymagał od niego zawód. Aby się rozwijać — musiał koniecznie zmienić miejsce pracy. Ale w jego sytuacji nie było to takie proste. Z pewnych powodów zniana pracy zmuszała do swego rodzaju spowiedzi, odgrzebywania przeszłości, tłumaczenia się nieczym z popełnionego przestępstwa...

W Azotach przyjęło go życzliwie. W pracy, którą otrzymał, występowały wciąż nowe problemy, wymagające koncepcyjnego myślenia. Słowem — żywioł dla ekonomisty.

Z koniecznością wyznacza zasady, że człowiek człowiekowi wilkiem, nie znajdował w nowym miejscu pracy jej potwierdzenia. Ludzie byli wprawdzie zabiegani, czasem nawet i żli na siebie, ale mimo wszystko w ogólnym rachunku wzajemnie żyli.

Pewnego dnia tok normalnych zajęć przerwał telefon:

— Na Kazimierskiej się pali! Sześć osób pozostało bez dachu nad głową. W rodzinie ekonomisty panowała rozpacz.

— Proszę się nie martwić, panie Zygmuncie — pocieszał wicedyrektor Zdebił, który wspólnie z załogą gasił pożar. — Pomocemy. Jeszcze dzisiaj otrzyma pan mieszkanie.

Gdy wkładano na samochód kilka opalonych mebli, reszta ocalałych kłasek, a obok sadowiono rodzinę,

Zygmunt Molendziński wprowadzał korektę do wyznawanej zasady: człowiek człowiekowi może być bratem... — tak właściwie powinna brzmieć.

Mówią, że to w żartach... Jeden z robotników skierował sprężarkę strumień powietrza na śpiącego kolegę. Ofiarę wypadku odwieziono do szpitala w stanie ciężkim. Będzie kaleką.

Ktoś inny wskoczył na stojący sypczak i chciał się popisać umiejętnością jazdy. Zamiatł do przodu — ruszył do tyłu. Gasienicami zmiażdżył nogi kolede, który nie zdążył uskoczyć z drogi.

Puławskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego — generalny wykonawca robót. Mówią: przedsiębiorstwo bez głowy. Kolas na glinianych nogach.

W ciągu roku pracowało dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt sześć osób, a w okresie poprzedzającym dwudziestu miesięcy odeszło tysiąc dwustu siedemdziesięciu sześciu robotników. Trzydzieści pięć procent załogi zwolniło się na własną prośbę, trzydzieści cztery procent odeszło samowolnie, dwadzieścia pięć procent zwolnione zostało przez przedsiębiorstwo z ustawowym okresem wypowiedzenia. Czy taka załoga może wykonywać zadania? Kto odpowiada za taki stan?

Opinia załogi przypisuje część winy samemu zwalnianym lub zwalnającym się, ale w większym stopniu obciąża kierownictwo przedsiębiorstwa za niewłaściwą organizację pracy, za złe stosunki...

Mówi się o walce: inwestor — generalny wykonawca. W pospolitym ujęciu K kontra B.

K. jest człowiekiem dużego formatu, o śmiałych koncepcjach, szczerym spojrzeniu na świat. To nie tylko znany fachowiec. To także humanista, co wśród ludzi techniki nie jest zbyt częste. Stawia na młodych, zdolnych inżynierów. Potrafi szybko i trafnie ocenić poziom inteligencji i przydatność osób zgłaszających się do pracy. Jest to przy tym doświadczony dyrektor. Jego podstawowym dążeniem staje się zintegrowanie załogi.

Kto wygra? Możliwość jest tylko jedna. Im szybciej ona nastąpi, tym wcześniej będzie się mówiło: To już normalne przedsiębiorstwo, a nie kolas na glinianych nogach.

Stało się. Stało się to, co było nieuniknioną koniecznością: przedsiębiorstwem kierują ludzie, którzy „zbył zjedli” na placach wielkich budowli. Dlatego teraz? Czy nie dało się uniknąć haraczu poniesionego przez kombinat?

Zmiany personalne nie oznaczają bynajmniej rozwiązania wszystkich trudności. Robota idzie już jednak normalnym trybem.

Czy między generalnym wykonawcą a inwestorem panują ścisłe stosunki? Wielka budowa ma swoje prawa. Występują one i w Puławach. W tej grze interesów partnerzy są teraz, na szczęście, równorzędni.

Plac budowy Azotów zwiedzała wycieczka złożona z soltysów z powiatu puławskiego. Chłopów zafas-

cynował ogrom i piękno kombinatu. Dyrektorowi K., który ich oprowadzał, zadawał dziesiątki pytań.

Obserwując tych ludzi, w sposób namacalny odczuwał się sens i potrzebę istnienia tej wielkiej fabryki, na której produkcję czeka wieś, wiążąc z nią nadzieje rozwoju polskiego rolnictwa, państwo liczy na zaprzestanie importu zbóż.

Nad Puławami przeszedł huragan. Miasto jednak oszczędziło i swą niszczycielską siłę skierował na obiekty Azotów. Straty sięgają kilkuset milionów złotych. Nie obyło się bez ofiar: karetki przewiozły do szpitala rannych robotników.

— Przyroda mści się — słychać komentarze w pewnych kręgach mieszkanców Puław. — Wycięcie sześciuset hektarów lasu nie przetrzyma (Dokończenie na str. 15)

Liczby i fakty

19 grudnia 1960 roku uchwała Rady Ministrów nr 423/60 powołała Zakłady Azotowe „Puławy”. Według wstępnych projektów miały one produkować głównie mocznik nawozowy, paszowy i krystaliczny.

Pierwsze założenia przewidywały trzy etapy rozwoju fabryki. Począwszy od drugiego etapu miał nastąpić rozwój produkcji organicznej w oparciu o półpalenisko gazu ziemnego, spróbowano uruchomić z ZSR. Założenia te uległy pewnym zmianom po zlokalizowaniu w Puławach przez Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów (uchwała nr 1461 z 23.1.1964 r.) następnej fabryki azotowej — Puław II. Nowa fabryka, wzniesiona na terenie uzbrojonym, porwała obniżyć koszty i szybko zrealizować inwestycje.

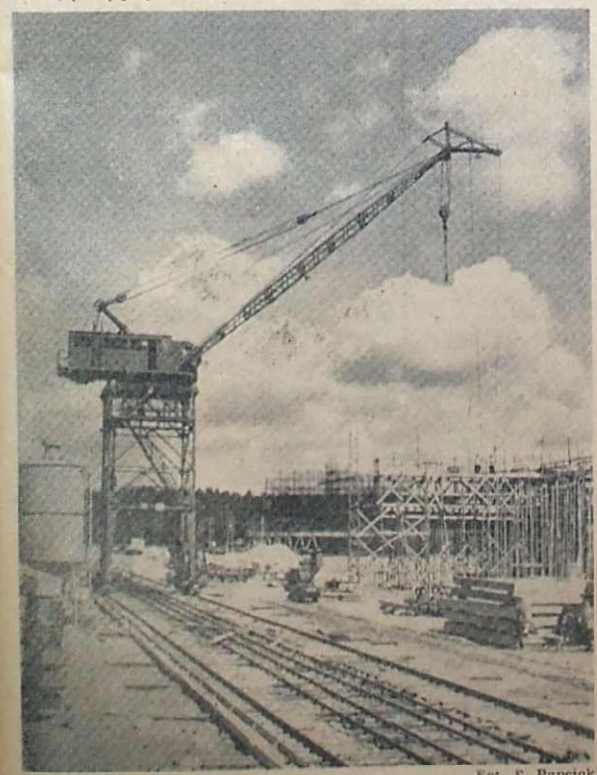
Puławski kombinat azotowy określa się mianem kombinatu chleba. Właśnie to, że wielkie nakłady inwestycyjne przeznaczone na budowę fabryki azotowych umożliwiły wyprodukowanie tej ilości nawozów sztucznych, która pozwoli w najbliższych latach osiągnąć wzrost produkcji rolnej, pokrywając zaspokojenie potrzeb krajowych, a tym samym likwidację kosztownego importu.

Generalnym wykonawcą Zakładów Azotowych „Puławy” jest Puławskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego. W skład generalnego wykonawstwa wchodzi 26 przedsiębiorstw specjalistycznych, tzw. podwykonawców, którym są znane w kraju i za granicą przedsiębiorstwa budowlano-montażowe, takie jak Montostal — Warszawa, Energomontaż Północ — Warszawa, Hydrobudowa 6 — Warszawa, Chłodnie Kominowe — Gliwice, Energoaparat — Katowice, Krakowskie Przedsiębiorstwo Budowy Elektroenergetyki — Zabrze.

Puławy i tworzyć będą trzy ciągi lub jednostki produkcyjne dające po 300 ton amoniaku na dobę z przerobem na 3 x 500 ton mocznika na dobę, oraz 2 x 300 ton amoniaku na dobę z przerobem na 2 x 500 ton mocznika na dobę. Pełne uruchomienie Puław I przewidziane jest do 1963 r.

Celem przyspieszenia budowy Puław II i zastosowania najnowszych i najlepszych rozwiązań zakupiono w kraju i zagranicą kompletną dokumentację wraz z technologią. Roczna produkcja fabryki wyniesie 355 000 ton amoniaku oraz 355 000 ton mocznika, 355 000 ton kwasu azotowego, przetwarzanego na 1 100 000 ton salitru amonowego.

Już w 1970 roku udział Puław w krajowej produkcji nawozów azotowych wyniesie 35 procent. Do wywieżenia tego produktu potrzeba rocznie 3 250 pociągów towarowych po 40 wagonów każdy.



Fot. S. Papciak

MIAŁEM pięć lat², gdy z domu Augenlichta przeprowadziliśmy się do dwupiętrowej kamienicy Michała Staregowskiego przy uliczej łączącej Reformacką z Lubelską. Wówczas bez miłana, dziś nazywa się ona ulicą Trzeciego Maja.

Mieszkanie nasze składało się z pięciu pokoi³, przedpokoju i kuchni. Powierzchnie miało znacznie większą niż poprzednie, ale dla lekarza niefortunny rozkład, ponieważ jeden pokój, który nadawał się na gabinet przyjeźdźcy, przylegał bowiem do przedpokoju — pościelić w nim, znajdował się w samym środku i był przechodni. Na lewo (licząc od ulicy) prowadziło do saloniku, za którym mieściła się sypialnia rodziców. Na prawo był mały pokójek o czworogórnym do gabinetu, kuchni, jadalni i balkoniku, tę niestawną kłitkę otrzymałem dla siebie. Dumny byłem z posiadania własnego pokoju, choć mogłem w nim, jedynie w kącie, ułożyć zabawki i postawić trzykolorowy rower. Na szafie bibliotecznej, kiedy zaczynałem gromadzić książki, nie było w nim miejsca, toteż umieszczono ją w jadalni, gdzie również stało moje łóżko i stół, przy którym się uczyłem. Tak więc niby miałem swój pokój, a w gruncie rzeczy ukoślowałem się „klatem” w jadalnię.

Pokój ten był największy i najmiśszy ze wszystkich. Tu też ogniskowało się nasze życie rodzinne, zwłaszcza wieczorami. Okrążyli rozsuwający stół, ciężkie krzesła z plecionymi siedzeniami, u góry — „kandelabr” — wisząca lampa naftowa, ośmiodłona jedwabnym abażurem z paciorkami, którą za pomocą specjalnej gruszki wypelnionej łożem i poruszających się łańcuszków można było podnosić i opuszczać — oto „kominek”, przy którym gromadziła się nasza trójka. Tej wiszącej lampy używaliśmy rzadziej: nie była wygodna, stojąca — poręczniejsza i dawała więcej światła. O, poezjo tych niezapomnianych wieczorów z szumiącym samowarem na stole, z ciepłą lampą naftową, z dobrymi wspomnieniami rodziców, z ich wzajemną serdecznością. Rozmawiano o różnych sprawach, nie wszystko wtedy rozumiałem. Nieraz mama odzywała się do ojca po francusku. Nie lubiłem tego. Zdawałem sobie sprawę, że nie chce, abym wiedział, co mówi, a czulem, że się to odnosi do mnie. Czasem miała ochotę ze mnie żartować, ale dociekałem jej znaczenia słów: *expres je dis*. — A ja wiem, a ja wiem — wołałem — mamusia powiedziała to na niby! Prawda, tatusiu?

Miałem dużo znajomych: rodziny kolegów ojca, aptekarzy, rejentów, księży. Od czasu do czasu składano sobie wizyty: to ci, to owi urządzali przyjęcia. A dzieci odwiedzały się i bawiły wzajemnie z okazji imienin czy świąt. Najbliżsi żyli z rodziną aptekarską Filipowiczów, późniejszego posła w jednym z przedwojennych sejmów. Miał szczerą i chorowitą żonę, która obdarzyła go sześciorgiem dzieci — dziewczynką i chłopców od par. Bliskie stosunki łączyły nas z doktorostwem Łuczowskiemi i de Michelisami. Jagoda Łuczowska, jedynaczka jak i ja, była o dwa lata starsza ode mnie. Początkowo bawiliśmy się razem nie czując różnicy wieku, ale dziewczynka dojrzała szybko, przeobraziła się w pannę i sztabek gimnazjalny musiał ustąpić miejsca bardziej atrakcyjnym dla niej towarzyszom. Najserdeczniejsze węzły zacierzały rodzice z rejentem w Bieliskim. Nie rozluźniły się one i po śmierci ojca. Z ich dzieci tylko śliczna o niewzruszonej delikatności urodzie, młodsza o dwa lata ode mnie Marychna, bawiła się czasem w naszym gronie, jej mały bratczek Józio jeszcze nie wchodził wtedy w rachubę. Córkę doktora de Michelisa i ich syn, późniejszy prokurator, to już byli ludzie dorodli lub prawie dorodli (jak kształcała się w żeńskiej szkole prywatnej w Warszawie — Giga, która później przez kilka miesięcy uczyla mnie literatury polskiej). Tak samo Linka Boguszewska, córka aptekarska, którego żona przeciągała z rosyjską wyrazą i palila (rzadkość w owym czasie) papierosy, a męża nazywała Bronką. Z księży lubiliśmy wszyscy Jana Stormkiego, który zawsze wesół, śmiał się całym gardłem i umiał się ze mną bawić. Gdy położył wyjechał na daleką parafię, ilekroć zabaczył o Chelm, zawsze nas odwiedzał. O księdzu Stanisławie Sonnem, późniejszym moim prefekcie, będę mówił przy innej sposobności. Ksiądz dziekan Wincenty Hartman, przyszły kanonik, miał przy swoim domku (dzisiaj tam — apteka) ogród, z którego cała nasza paczka dziecięca mogła korzystać aż do maja, bawiąc się na świeżym powietrzu. Kwitły bzy i jaśminy. Ogród przecinały pod prostym kątem alejki, po których biegaliśmy radośnie.

Wśród dzieci przeważały dziewczynki. Przyrosły ze sobą drewniane kółka, które toczyły paleczkami, sznurki do skakania, płoty wianeczki z kwiatów i śpiwale. Chłopcy, wśród których był młodszy ode mnie drugi Kazio (w dwadzieścia lat później skończył samobójstwem), wolali się gonić po alejach, bawić w chowanego lub wspinać na drzewa. Ale była jedna dziewczynka, Halina K., która wolała się bawić z chłopcami: silna, energiczna i lubiąca przewodzić, dokazy-

wała na równi z nami i potrafiła ku zgorzeleniu swych towarzyszek wdrywać się na galeje. Najbardziej lubiliśmy Jagodę: imponowała nam mnióstwem zabawek, a zwłaszcza tym, że miała bonę — prawdziwą Francuzkę, młodą, żywą i doskonale bawiącą się z nami made-moiselle Marie Brun. Wesola brunetka pilnowała dzieci, aby nie pustoszyły porzeczek i agrestu, które ksiądz pozwalał nam zrywać, ale tylko pod warunkiem, żeby były dojrzałe. Organizowała zabawy i uczyła nas francuskich piosenek.

W zimie jeździło się na łyżwach. Plac Mendia Matysa przy ul. Obłonskiej w pobliżu ogrodu miejskiego w lecie służył za cykielom, a w zimie za lodowiskiem. Sport łyżwiarski cieszył się powodzeniem nie tylko wśród dzieci i młodzieży szkolnej, ślizgali się chętnie i dorodli. Bardziej zaawansowani jeździli parami holendrząc. Inni popisywali się jazdą do tyłu. Wśród łyżwiarzy wyróżniała się piękna jazda sympatyczna nauczycielka języka niemieckiego w Instytucie Maryjskim. Choć uczyła w rządowej szkole rosyjskiej dla dziewcząt, uważała się za Polkę i utrzymywała stosunki towarzyskie z kilkoma rodzinami miejscowej polskiej inteligencji. Pani Julia Müller była gościem mile widzianym i w naszym domu. Moja matka też się ślizgała, ale nie doszła do perfekcji. A moje próby holendrzenia kończyły się przeważnie porażką leżącą na lodzie.

Atrakcją dla mnie były prozowne przyjęcia, które odbywały się u nas co parę mie-

jeszce nawet w sześćdziesiąt sześć — wszystko to było abrakadabra. Ale lubiłem kibicować ojcu, stojąc za jego plecami i podziwiając, jak szybko układa karty według kolorów i starszeństwa i cieszyłem się, gdy zgarniał lewą za lewą. Niestety, nie przynosiłem mu szczęścia: zazwyczaj przegrywał.

A potem kolacja przy zgaszonym oświetlonym wisząca lampą i dwoma przyniesionymi z saloniku kandelabrami, auto zastawionym stole, kolacja ciągnąca się długo, a przy niej coraz bardziej ożywione pod wpływem alkoholu rozmowy. Wódka, wino, piwo podnosiły humor, ale użyte w miarę nie doprowadzały nigdy do zgorzelenia. Nie zdarzyło się u nas, aby ktośkolwiek się upił. Oczywiście nie należałem się, żeby napelniano i mój kieliszek, toteż otrzymywałem porcję soku lub herbaty. Rodzice nie pozwalali mi pić wódki, najwyżej w takich okolicznościach nalewano mi pół szklanki piwa.

Po kolacji wracano do przetrwanego wina, panie wraz z nie grającymi panami przechodziły do saloniku, matka teraz już mogła zadość uczynić problem, aby coś zaśpiewała, i zaczynał się koncert. Goście rozchodzili się koło dwunastej. Nazajutrz odbywało się ogólne sprzątnięcie i dopiero na trzeci dzień wszystko wracało do normy.

Ale daleko większą atrakcją niż przyjęcie dla gości był dla mnie cyrk. Kiedy przyjeżdżał do naszego miasta — mniejszy czy większy — już z góry cieszyłem się, że ukończony ojcem, tak dbającym o sprawienie mi przyjemności, zabierze

które zamiast huśtawki zawieszano na dwóch hakach mocno wkręconych w futryne drzwi prowadzących z mojego pokoiku do jadalni. Był więc trapez, były kółka i drabinka. Najbardziej upodobałem sobie trapez i zapamiętałem niektóre rodzaje ćwiczeń akrobacyjnych, stopniowo na małą skalę zacząłem je stosować. Podciągałem się więc szybko na trapez, później huśtałem się na nim trzymając się sznurą jedną ręką, a potem już nie trzymając się żadną, robiłem młynkę kręcąc się zgiętą w kolanie nogą wokół osi poprzecznej, zawisałem głową na dół na obu nogach i na jednej. Robiłem też i inne tak zwane „sztuki”. Dla bezpieczeństwa pod trapezem kładano mi materace, ale i tak nasi znajomi widząc czasami moje popisy chwytały się za głowy i mówili: — Ludzie, bójcie się Boga, macie państwo jedynaka i pozwalacie mu na takie historie! — Ale rodzice jakoby wierzyli w moje siły, ojcem uważali, że w ten sposób ćwiczę mięśnie i wywabiam w sobie odwagę.

Mniej więcej w tym samym czasie, sam nie wiem jak, posiadałem inną umiejętność. Zaczęło się od pawiego pióra, które spróbowałem utrzymać w równowadze na nosie. O dziwo, udało mi się to bardzo szybko. Potem pióro zastąpił kijek. Wreszcie — krzesło na brodzie i palący się lejek papierowy — na nosie. Przeciw temu już protestowała mama: „Poparzyś się! Zaproszysz ogień!” Wreszcie opanovałem podraczanie dwóch piłeczek, na przemian chwytałyśmy do ręki. Nauczyłem się tedy żonglerki.

A więc zaczęła się ulubiona zabawa w cyrk. Gromadka zaproszonych dzieci po przednim wykupieniu „na niby” biletów zajmowała krzesła w jadalni na wprost drzwi otwartych do mojego pokoiku. W rękach trzymały wykalkulowane przeze mnie programy. Cyrk miał nazwę wymyśloną przez tatusia, który poniekąd był inspiratorem zabawy, „Firma” brzmiała wcale poważnie: Meksykański Cyrk Matutino Los Angeles i Suza Muza Laperuza Habakuk. Ten napis widniał w nagłówku programów, a potem następował spis poszczególnych numerów i nazwiska (ma się rozumieć — cudzoziemskie) wykonawców, którymi byłem ja w jednej osobie. Miałem i drzwonek odzywający się trzykrotnie w krótkich odstępach czasu i obwieszczący początek przedstawienia. Numery na trapezie i popisy żonglerskie wywoływały naprawdę podziw „publiczności”, ale bo też stanowiły mocne punkty moich cyrkowych zdolności. Słabiej wypadali „największy sztangista świata”, podnoszący do góry sześciopuntowe hantle i „król humoru”, znakomity klaun Bombasto uprzedzający: — Trzymajcie się, państwo, dobrze za brzechy, żeby nie pęknięły ze śmiechu! i powtarzający wciąż te same żarty w cyrku kawały. Ale „publiczność” nie była wybredna i zgodne oklaski nagradzały uniwersalnego artystę. Cóż, cyrk, do którego i dzisiaj żywym sentymentem był dla dziesięcioletniego chłopca ideałem piękna. Na zapitanie starszych, czym pragnę zostać w przyszłości jak dorosnąć, z całą powagą odpowiadałem wtedy — dyrektorem cyrku.

Stałem kina jeszcze w Chelmie nie było. Czasami tylko podobnie jak cyrk, przyjeżdżał tak zwany „luźnon”, który czarował mnie ruchomymi obrazami, po nich jakże blade wyglądały potem na ścianie puszczane przeze mnie z czarnoklaskiej latarni martwe w swej statyce obrazy.

Namiastki teatru stanowiły przedstawienia amatorskie, które po roku 1905 pozwalano urządzać publicznie. Grywano zazwyczaj jednoaktówki, w których występowały nasi znajomi, nieraz brała w nich udział i moja matka. Czasem porównano się na rzeczy większe i trudniejsze. Pamiętam „Moralność pani Dulskiej” wyreżyserowaną przez pana Antoniego Kusza, w której mama grała rolę Julii-świeżowej. W kilkanaście lat później, już w Polsce niepodległej, pod tą samą reżyserią odzwierciedlałem w tej sztuce rolę Zbyszka, którego postępowania w stosunku do Hanka w latach dziecięcych zgola nie rozumiałem.

Wspomnę tu jeszcze o „swoich” najwcześniejszych książkach. Czytałem nauce, już mając pięć lat. Książki były nieoprawne i zawierały kolorowe obrazy, a pod nimi dużym tustym drukiem odpowiednie wierszyki. Pamiętam jeden z nich: „Sala dziecięca przez rzędkę i nio- do buleczek, przez rzędkę płochę rzuca w wodę troche, rybiak to spozregny, do kruszek się zbliży”. Na innym obrazku dzieci machają reklamą żegnając rodziców wygładzających z okna wagonu: „Przyjadą, przyjadą na pewno z Warszawy, przyjadą coś dzieciom swoim do zabawy”. Ale była jedna książeczka z ilustracją, której się po prostu bałem. Całego tytułu tego zbioru niby to dydaktycznych wierszyków, mających pouczyć o zgubnych skutkach nieposłuszeństwa, nie pamiętam. Tytuł był długi, wyliczał różne niegrzeczne dzieci i kończył się: „...o Ciesi- cmokosi i spalonej Zosi”. Ciesia często trzymała palec w ustach i nie wiem, jaka ją za to spotkała kara, a Zosia bawiła się zapalkami i zginęła w płomieniach. Do dziś pamiętam ten realistyczny obrazek przedstawiający dziewczynkę z przerażoną twarzą, otwartymi od krzyku ustami i ogarniającym ją zewsząd ogniem. Ohydny obrazek i szkodliwa dydaktyka.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Takie były zabawy w one lata

sięcy, zazwyczaj w sobotę. Ten dzień był inny od wszystkich. Nie zdawałem sobie sprawy, że dla matki — a miałem tylko jedną, jak się to wtedy mówiło, służącą — był to czas wzmożonej pracy. Ale lubiła gości. Dla mnie zaś od rana godziny toczyły się niezwykłe. Najpierw więc należało uprządkować naszą jadalnię, żeby w niej było więcej miejsca. Łóżko moje składało i wynoszone do sypialni rodziców. Stół rozsuwano na całą długość pokoju. Rozkładano dwa obrusy, bo jeden nie wystarczał. Następnie zaczynało się znoszenie tego wszystkiego, co taki stół powinno zdołać. O tym, co później znajdowało się na półkach, salaterkach i talerzach, pisać nie zamierzam, wiem tylko, że już na parę dni przedtem mamusia naradzała się z grubym tomem Cwiartkiewiczowej co do wyboru potraw.

Gdy zbliżała się godzina przyjęcia, nie mogłem się doczekać dzwonka, oznajmującego przybycie pierwszych gości. Siedziałem na otomianie w saloniku i kartkowałem leżące na stoliku książki. Z ciekawością, nie wiem po raz który, przeglądałem „Marie” z ilustracjami Andriollego. Szczególnie bawił mnie obrazek przedstawiający zapusty. Intrzygowało mnie „Pan Tadeusz”, w którym w kilku miejscach zamiast wyrazów były kropki. Jak później sprawdziłem w innym wydaniu, kropki te zastępowały słowo „Moskale”. Zabierałem się do czytania „Dziadów”, z których najbardziej pociągała mnie cz. II i IV z występującymi tam duchami i szaleńcem, który o północy przebiegał się sztyletem. Oczywiście niewiele rozumiałem, ale jeszcze mniej przeglądając tomik wierszy Tetmajera, ulubionego poety matki.

Wreszcie zjawiali się pierwsi goście, a potem zaczęli już szybko schodzić się jeden za drugim. Niestety sami dorodli. Dzieci miały swoje tak zwane „kinderballe” i przyjęcia z okazji imienin. Ale odbywały się one po południu i trwały nie dłużej jak do ósmej wieczorem. W wyjątkowych tylko wypadkach zabierano dzieci, gdy nie było ich z kim zostawić w domu. Toteż przyjęcie, którego tak wyglądałem, wkrótce już zaczynało mnie nudzić. Zrazu ten i ów z gości konstatowałem, że rosną jak na drożdżach, że zmełniałem, ktoś inny pytał o postępy w lek- cjach, w tym czasie jeszcze domowych, ale wkrótce zostawiam mnie w spokoju. Przyszedłem do rozmowy pań, mama lawirowała między salonikiem a kuchnią, przyglądałem się grającym w karty. Wtedy już nie grywano w preferans i jeszcze nie zakorzenił się wszechwładny dzisiaj brydż. Popularny natomiast był wint. Grał tylko panowie. Otoczeni klebami dymu z papierosów rzucał tajemniczo słowa: *passé, piéc karo*, czy *azlemik w pik*, dokopywał karty, robili „gwóźdźla” i kreśliłi kładą na zielonym suknie kolumny liczb dające do jakiegoś robra. Dla mnie, normalnego gracza w durnia czy świnkę, różniła- jącego wprawdzie nazwy kolorów i strofującego służącą, że nie mówi się *dzwonki*, tylko *karo*, ale nie wtajemniczonego

nie przynajmniej na jedno przedstawienie. Matka nie przepadała za tego rodzaju widowiskiem, przeważnie więc chodziliśmy we dwójkę. Ten świat zaczarowany, w którym kolorowi ludzie i trefnawane zwierzęta zachowywały się tak jak nigdy się tego nie widzi w codziennym życiu — wprowadzał mnie w zachwyt. Podobało mi się wszystko: i ten oświetlony lampami wielki namiot z wysoką kopułą i zwieszającym się z niej trapezem, i posypana trocinami arena, i orkiestra grząca z hałasem, i te nadzwyczajne obrazy, które jeden po drugim zmieniały się przed naszymi oczami. Śmiałem się z niezdarzanych kłaudów w śmiesznych szarawarach, podziwiałem mądre konie, posłusznie przy trasku biegały dyrektorskie wykonujące różne ewolucje, diokleji wyskakujące na rami w biegu, wółkierki stojące na dużym płaskim siodle i przeskakujące przez barykady, gimnastyków popisujących się salto mortale⁴, ekwilibristów na linie, ale nade wszystko imponowała mi zręczność żonglerów i odwaga akrobatów, ćwiczących na trapezie u samego stropu namiotu. Kiedyś i słynny Durow zawitał do Chelma ze swoimi zwierzętami. Cyrk Adrejewa, Harlina, Barańskich, Truziego i tyje innych.

Z tym Truzziem była nawet zabawna ale przykra dla mnie historia. Byłem na pewnym przedstawieniu, które mi się ogromnie podobało, i marzyłem o tym, aby mnie ojcem zabrał na jeszcze jedno. Trzeba trafić, że sam dyrektor Truzzi zgłosił się po kilku dniach do gabinetu ojca jako pacjent. Orzeczony poradę lekarską zamiast honorarium wręczył tatulusowi bilet, na którym napisał jakimś włosko-polskim żargonem: *una logia siabodni* — miała to być bezpłatna łoża na majęce się odbyć nazajutrz pożegnalne przedstawienie. Jakże się cieszyłem z tego powodu i jaki był mój zawód, kiedy na drugi dzień rano dowiedziałem się, że cyrk wyjechał. Mówiąc dziejszym slangiem dyrektor cyrku zrobił z ojca balona.

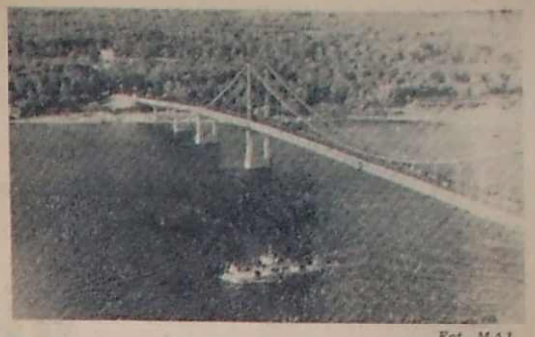
Bakcyli cyrkowy zaszczerpił się we mnie tak mocno, że całkowicie uległ zmianie styl moich zabaw. Przez pewien krótki okres czasu bawiłem się w nabożeństwo. Jeden z małych stoików nakrywałem ręcznikiem, umieszczałem na nim obrazek święty, wkładałem na ubranie czystą koszulę i wznosząc ramiona mamrotałem zapamiętane łacińskie wyrazy, jak „*Dominus vobiscum*”, „*Per omnia saecula saeculorum*” czy „*Ite missa est*”. Zławsz- cza podobna mi ten drugi zestaw wyrazów, w którym z „*per omnia*” robiłem jakąś Peronię (może przez skojarzenie z Peru?) i wyobrażałem sobie, że to piękny zamorski kraj. Zabawa ta nie świadczyła wcale o pobożności z mojej strony, ot, była tylko jednym z przejawów teatralizacji życia, którą po zetknięciu się moim z cyrkiem musiał ustąpić przed nowym przejawem, więcej nastro- jającym możliwości różnych pomysłów. Zabawa w cyrk.

Ale poprzedało ją uprawianie przeze mnie gimnastyki na różnych przyrządach,

² Rozdział z przygotowywanej do druku książki „Wywoływanie duchów”.

Józef Czechowicz jako tłumacz Pawła Tycyny

Chwała tobie, Kijowie



Fot. MAJ

POETA w rozpowszechnionym mniemaniu bardzo subiektywny. Józef Czechowicz, był jednak w rzeczywistości prawdziwym mistrzem również w dziedzinie wyimagacji od twórcy podwójnej dyscypliny, nawet pewnego samozaparcia — właśnie w dziedzinie przekładu poetyckiego.

Mniej więcej czwartą część „Wierszy” Józefa Czechowicza (Wydawnictwo Lubelskie, 1963, str. 512), tego na razie największego zbioru poezji poety, stanowi duża liczba tłumaczeń (z języka angielskiego, bułgarskiego, czeskiego, francuskiego, rosyjskiego, ukraińskiego). Oczywiście, są tutaj utwory różnej jakości, stworzone przez bardzo rozmaitych poetów, to samo można powiedzieć również o tłumaczeniach jako takich, ale nie dziwnego, spotyka się wśród tych reprodukcji sporo rzeczy naprawdę pięknych. Szkoda, że ta olbrzymia część dorobku twórczego Józefa Czechowicza aż do dzisiaj czeka na rozległe studium czy przynajmniej gruntowny esej.

Nie zamierzam pisać na ten temat w całości. Pragnąłbym po prostu podkreślić znaczną liczbę tłumaczeń Józefa Czechowicza z poezji ukraińskiej (od Tarasa Szewczenki aż po Mikołaja Bałanę, czyli poetę raczej młodego w latach międzywojennych) i zatrzymać się jedynie na wierszach Pawła Tycyny. Moim zdaniem, istnieje pilna potrzeba zwrócenia uwagi na wartość właśnie tych przekładów Józefa Czechowicza. Są one najbardziej silne i przekonujące z wszystkich jego tłumaczeń z ukraińskiego. Przypuszczam też, iż właśnie Paweł Tycyna był dla Józefa Czechowicza, jako tłumacza ukraińskich poetów radzieckich, zjawiskiem najbardziej ciekawym oraz atrakcyjnym, w „Wierszach” bowiem znajdując się aż 22 utwory tego pisarza, podczas gdy liczba przekładów z innych autorów ukraińskich nie przewyższa 12, 4 itd.

Przekłady Czechowicza z Tycyny (częściowo drukowane na łamach „Zetu” oraz „Ateneum” w latach 1933 i 1938) mogły powstać na podstawie następujących książek ukraińskiego poetę (nie będę brał pod uwagę przedruków ani rozmaitych wydań jednomyślnych): „Słoneczne klarnety” („Sonlasi klarnety”, 1918), „Zamiast sonetów i oktafów” („Zamist sonetiv i oktafiv”, 1920), „Pięć” („Piug”, 1920), „W kosmicznej orkiestrze” („W kosmicznomu orkestru”, 1921), „Żyjemy w komunie” („Żyem komuniu”, 1924), „Wiatr z Ukrainy” („Witer z Ukrainy”, 1924), „Czernichów” („Czernigiv”, 1931), „Partia prowadzi” („Partija wede”, 1934), wreszcie „Początek rodziny jednolitej” („Czuttja jednyni rodyni”, 1938).

Czy Czechowicz, tłumacząc Tycynę, miał wszystkie te książki? Trzeba by się zająć tym pytaniem, lecz dla mnie osobiste to sprawa zbyt trudna.

Faktem jest, że cała uwaga Józefa Czechowicza, jako tłumacza Pawła Tycyny, zwrócona była na wczesne, czy stosunkowo wczesne utwory ukraińskiego poetę (12 wierszy ze „Słonecznych klarnetów”, pozostałe z „Zamiast sonetów i oktafów” oraz „Pięć”).

Niemniej Paweł Tycyna już w tych wczesnych swoich książkach, niezależnie od wszystkich ewentualnych zastrzeżeń, jest raczej poetą dojrzałym, prawdziwym artystą z rysami talentu bardzo samolistnego, jeszcze zupełnie nie myślącym o możliwości jakiegś twórczego klęski itp. Toteż Czechowicz biorąc te czy owe wiersze ze „Słonecznych klarnetów”, „Zamiast sonetów i oktafów” oraz „Pięć” pracował nad ich spolszczeniem z całym przekonaniem, że miał przed sobą poezję, rzeczywiście wyraziście, a przede wszystkim nowoczesną, o nastrojach i tematyce często rewolucyjnej.

poeta rzetelnie wyraził kapryśne czasami granie ukraińskiego mistrza ze słowem, granie cechujące jak wiadomo także pieśń ludową. Pod tym względem szczególnie zasługuje Czechowicz na pochwałę, bo niekiedy miał tu kłopotów co nie miara. Już sama bliskość językowa następcza tłumaczowi znaczne trudności jak np. w zwrotkach takich, jak przytoczone:

(...) Na schid soncia grajūt' grozy — budūt' znouu siozy!
Wstały maty, wstały j' tatko:
de lastowenjatko?

JAN NAGRABIECKI

Czechowicz*)

* * *

chmura słonecznie
w śpiewnych słojach
babiego lata
kołuje
nad czołem

gdy noc zawoła
słońce wjedzie na kołach

nie zgasisz
płomnego
czola
czułą
poduszką
snu

* * *

zjęli wieko trumny czechowicza
włożyli mu koronę
mówiąc

jesteśmy nie z baśni ani z obłoku
lecz z piwnicy lasu
gdzie chóry płaków
ukryty klucz życia

uwierz! czechowicz
podniósł się z lubelskiego sarkofagu
i poszedł szukać bomby
która go zabiła

*) Z tomu pt. „Gasnące linie”, który ukazał się wkrótce nakładem PIW.

A ja tu, w sadu, na ławce
de kwitły — łaskawci...
Szczo skażu jīm? — Wse pomitno:
jablunecowitno!).

Ale Czechowicz, jak mi się wydaje, wychodził zwycięsko nawet z takich skomplikowanych sytuacji, ponieważ miał za sobą własne doświadczenie poetę, rozmownego w urokach śmiechu i dwiędnego słowa. Ba, nawet wzmocnił tu melodyjny pierwiastek, potrafiwszy stworzyć też analogię do słownictwa Pawła Tycyny:

(...) Popod wchodem graj burze —
ma się na lzy duże.
Wstał tatko i mategzka:
— Gdzieś, jaskółeczko?...
— Na ławeczku, w ogródeczku,
u łubych kwiateczków.
Cóż im pociem? Chyba słowo:
kwietno-jablonkowo!).

Lecz widocznie wczesna liryka zdolnego poetę ukraińskiego wzruszała Józefa Czechowicza nie tylko tymi motywami, które charakteryzowały Pawła Tycynę raczej jako twórcę intymnego i możliwie w jakimś stopniu oddalonego od poezji bardziej obywatelskiej itp. Niewątpliwie zauważył Józef Czechowicz, iż nawet „Słoneczne klarnety” mają też inne specyficzne cechy, tragiczne czy patetyczne. Dlatego przetłumaczył ze „Słonecznych klarnetów” prócz kilku wskazanych lirycznych wzorów, również „Po sinawym stepie” („Po blyakynomu stepu”) i „Wojnę” („Wojna”), utwory w istocie swej antywojenne albo jeśli wyrazić się śmiało, pacyfistyczne:

(...) Na czużni des' hen — hen
bez chresta: uorom...
Bud' te proklati z wojnoju! —
Woronyj witer...!).

(...) Na obczyźnie dalekiej —
bez krzyża — kruki —
— Przekleństwo uam i wojnie —
Wrony wiat...!).

Stąd było przejście do „Pięć”, zwłaszcza do tych stroniec tej książki, na których Paweł Tycyna jest twórcą rzeczy istotnie nowatorskich, artystą słuchającym już nie tylko „muzyki sfer”, lecz także tej „muzyki rewolucji”, która na początku

nowej ery porwała na przykład Aleksandra Błoka. Potrafił Józef Czechowicz świetnie przetłumaczyć z „Pięć”, poza takim wierszem jak „Madonno moja...” („Madonno moja...”), utworem raczej mistycznym, szereg wierszy takich, które stanowiły niewątpliwie i poważny wkład Tycyny do poezji radzieckiej. Cóż z tego, że Tycyna później niektóre z tych wierszy odrzucił, przestał włączać do swych przedruków (czy jedynie z powodów artystycznych?). Są wśród nich utwory mocne i trwałe, zawierające w sobie coś ze skomplikowanych tragicznych i wielkich dzieł rewolucji na Ukrainie, które losów poetę już wówczas nie oddzielał od losów rewolucyjnej Rosji. Chociaż jest tu czasem zbyt wiele retoryki (co później tak ujemnie odbiło się na twórczości Pawła Tycyny), jestem głęboko przekonany, że na przykład: „W dzień ten poza siołem” („Zrazuż za selom”), 1918 czy „I Bieli i Blok” („I Bieli i Blok...”), 1919 należą do najpiękniejszych wierszy autora „Pięć”. Niech wolno mi będzie przytoczyć w pełni piękne moim zdaniem, również tłumaczenie Józefa Czechowicza tego drugiego wiersza:

I Bieli, i Blok, i Jesienin, i Klujew,
o, Rosjo, Rosjo, Rosjo ma, stysz,
...Po sto razy rozdarty podnosi się
Kijów

i ja sto razy uzięty na krzyż.

Tam wszędzie słońce i „Mesjasz”

śpiewa rzesza,
Tumany, doliny, błotnej drogi nie...
Daj nam, Ukraino, naszego Mojżesza,
Tak dalek nie może być.

Tak być już nie może, ja wiem to,
ja czuję.

Przez burze, grzmot powstają i grom
raz po raz,
wszystkimi nerwami skroś step
nauołuje,

POETO — czas.

Czarnoziem się podniósł
i z krwawym uśmiechem
wprost w oczy zagląda, wykrzytł
poeto, ukochać swój kraj nie jest
grzechem,
gdy wszystkich ukochać masz...)

Obecnie Paweł Tycyna cieszy się w Polsce Ludowej prawdziwą sympatią czytelników. Wśród jego tłumaczy znamy dzisiaj wielu innych wybitnych poetów polskich — Mieczysława Jastruna, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego (nawiasem mówiąc, też jednego z wczesnych polskich tłumaczy wierszy tycynowskich), Włodzimierza Słobodnika, Anatola Sterna, Adama Ważyka itd. Ale pamiętajmy też tłumaczenia Józefa Czechowicza z Pawła Tycyny.

1) Wiersz „Ne dywysja tak prywyt-
no”, r. 1918. P.: Paweł Tycyna. Wybra-
ni twory w 3 tomach. DWCHL, Kijów,
1937 r. Str. 24.

2) Józef Czechowicz. Wiersze. Wy-
dawnictwo Lubelskie. Lublin 1963. str.
398.

3) P. Tycyna. Poezji. Wyd. 2. DWU
Ukrainy, Charków, 1923. Str. 45.

4) Józef Czechowicz. Wiersze. Str.
467.

5) Józef Czechowicz. Wiersze, str. 416.

EUGENIUSZ MAŁANIUK

Przed portretem Mazepy

Zeby odczuć — wyczuć się trzeba,
zaprzepaścić w tym oto sensie:
Illustrissimus Dominus Mazepa,
Dux Cohortis Zaporowiensis.

Czupryna srebrna, czoło prorocze —
nie, to nie Nioby puste powieki —
teleskopowe, chłodnawe oczy
patrzą w idące burze i wieki.

W pancernej blasze piersi i ręce,
skrzydła spalone z łych, jak chmura.
Ciało sterane, serce młodzieńcze
okryty razem błękit i purpura.

Razmu kozaków sędziwi Marsie,
słyszali wieki, wieszczę Hetmanie,
grzmot żałobnego z Poltawy marszu
nad Petersburgiem, w jadów tumanie.

Niedarmo kwaterciem zapłonął w styczniu,
międzyłanych czasów imperatorze.
Pokiąd wyczysty barkom władczym,
które wznosił w błękit mistycznej zorzy...

Spolszczył J. Czechowicz

„Wolny” z dn. 27.X.1935, nr 44 (148) — kolumna
„Wolny Literacki”.

Jak gdyby z lotu ptaka,
z urwiska ujrzałem ten kraj —
gmachy, kościoły, ulice, ogrody
na wysokim prawym brzegu,
a niżej kominy zakładów przemysłowych,
przystań, stątki,
plaża z ludzkim mrowiskiem,
wody wielkiej rzeki z żółtymi mieliznami,
mosty,
a dalej, dalej
lewy brzeg z jego liliową nieskończonością...

Droga z ojczyzny Waregów do ojczyzny Greków
sunęły ongi słowiańskie łodzie...
O, czasy Światosława, Włodzimierza, Jarosława!

Chciałbym opowiadać o odległej przeszłości tego kraju...
Nie zabraknie mi chyba wiedzy?
Chciałbym mówić o ciekawych zabytkach tego grodu...
Nie zabraknie mi chyba dreszczu przed ruiną Złotej Bramy?
Chciałbym zachwycić się krajobrazami tego miasta...
Nie zabraknie mi chyba krasomówstwa?

Lecz nie chodzi mi tylko o to,
co należy do zbyt odległych stuleci...

Huk armat, bombowców naloty,
najcięższe faszystowskie wojska...
Panowanie podłości i mordu,
codzienny kłód, wymieranie ludu,
zniszczenie zakładów przemysłowych oraz cudownych zabytków,
grabież skarbow...

Powróćmy do przeszłości! Bądźmy...
Babji Jar, ten okropny cmentarz...
Pamiętajcie o nim, Polacy,
wy znaliście zagładę Warszawy,
krematorium Majdanka!

Lecz grzmot armat niekiedy jest niby krzyk narodzin,
a miasta są niby bajeczne Feniksy...

Chwała tobie, Kijowie,
zmartwychwstały, odmłodzony!
O, piękna stolicę radzieckiej Ukrainy!
Bądź pochwalona!
Niech słońce cię, Kijowie,
wiersze, obrazy, filmy!

Jak gdyby z lotu ptaka
widzę przeszłość wiekopomnego grodu!
Jak gdyby ze skrzydła samolotu
patrzę na wspaniałą kijowską tężalnięższość.
Jak gdyby z kosmicznej rakiety
spoglądam w twą przyszłość, miły mi, Kijowie,
w liliową nieskończoność twojego życia!

Igor Postupański

O IGORZE POSTUPAŃSKIM,
którego wiersz i artykuł zamieszcza-
my powyżej, bardzo sympatycznie
pisał Zbigniew Bielnicki w
10 n-rze „Twórczości” z październi-
ka ub. r. Sądźmy, że warto le-
piej przedstawić czytelnikom „Ka-
meny” tego radzieckiego poetę i
krytyka.

„Wśród moich przyjaciół Moskali
— cytujemy Z. Bielnickiego —
Igor Postupański nie jest postacią
typową. Ten Rosjanin nie mieści
się w gotowych, seryjnych rosyjskich
ramach psychologicznych, in-
telektualnych, nawet narodowych.
Temu Rosjaninowi Rosja nie wy-
starcza. Brzmi to paradoksalnie:
jakże można się nie mieścić w ży-
ciolu? Ale właśnie: nie rozpytywanie
się, nie utożsamianie się z żywi-
łem, ale racjonalizowanie żywi-
ła, organizowanie go to sobie jest in-
telektualną potrzebą Postupańskiego
i jego programem artystycznym...

„Prace przekładowe i badawcze
to mimo wszystko margines twórczości
Postupańskiego! Zle się wy-
razili: to droga do rygoru, któ-
rym chce swą twórczość poetycką
organizować... Chce swoją rosyjskość
wypowiedzieć językiem tak-
im, który by go zmusił do maksy-
malnej obiektywizacji, językiem
obcym... A więc Igor Postupański
pisze po polsku. Czytelnicy „Kame-
ny”, „Meandra” a także „Nowej
Kultury” pamiętajcie być może to
nazwisko. Postupański jest autorem
polskich wierszy (jeden z nich był
nagrodzony na konkursie „Nowej
Kultury” na wiersz o Kubie), jest
polskim poetą... Dziś nie zaiste
zjawisko. Za weźmiemy na jego ocenę
całkowicie obiektywną. Ta
twórczość jest przecież w stadium
rozwoju i nie należy przeciwnie
jej przyszłości. Jest to zjawisko
na sobie ciekawe, a dla nas
uzasadniające. W każdym polskim
wierszu Postupańskiego wyczuwa się
upartą, celową, szczerą i nie-
szczepioną walkę z opornym słowem.
Tu chodzi maksymalnie o to,
aby odpowiednio dać rzeczy słowo...”



Liptec 1944

Fot. Michał Trachman

LEON CHAJN Narodzinym UMCS

O D pierwszych dni objęcia władzy przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego we wszystkich dziedzinach gospodarki narodowej widoczna była troska o zalecenie ran zadanych przez hitlerowskiego okupanta, o przywrócenie życia normalnego biegu.

Szczególnie wyraźnie uwidoczniło się to w dziedzinie oświaty i kultury.

Lublin, awansowany przez historię na tymczasową stolicę Polski, ożywiony był zdrową ambicją uzyskania zaszczytnego miana nie tylko administracyjnego lecz również kulturalnego centrum odrodzonego państwa.

Spółczesność spragniona polskiego słowa, polskiej nauki, książki, teatru — z entuzjazmem przyjęła rezolucję pierwszego w wyzwolonej Polsce walnego zebrania nauczycielstwa w dniu 5 sierpnia 1944 r. Zebranie to uchwalilo niezwłocznie przeprowadzenie do pracy nad organizacją nowego roku szkolnego już od 1 września 1944 r.

Odpowiadali mi ówczesny kierownik resortu oświaty Stanisław Skrzyszewski, który jako przedwojenny nauczyciel dobrze znał i rozumiał warunki życia pracowników oświaty, ile wysiłku, a nawet bohaterstwa wykazywał nauczyciel w tych ciężkich i równocześnie radośnych dniach. Rejestracja zarządzone przez resort wykazała, że około 70 proc. nauczycielstwa dotknęła niszcząca akcja okupanta: część rozproszona, część wymordowana. Mimo że nieopodal przebiegała linia frontu, że trwał ciągły ochotniczy do wojska, że w Lublinie było głodno, a często i o dach nad głową trudno, że niemieckie samoloty zmuszały do zaciemniania miasta — przygotowania do nowego roku szkolnego szły całą parą. 1 września odbyła się wzruszająca uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego. Pierwszego w wyzwolonej Polsce.

Równocześnie na oczach wszystkich z dnia na dzień organizowały się i umacniały nowe instytucje kulturalno-oświatowe na terenie miasta. Z reguły ostatnia strona oficjalnego organu prasowego „Rzeczypospolitej” poświęcona była wiadomościom lubelskim. Zamieszczano tam informacje o władzach i urzędach, komunikaty, apele do ludności i

wreszcie kronikę kulturalną. W niej zaś ku wielkiej radości obywateli Lublina zaczęły coraz częściej ukazywać się komunikaty o odczytach, repertuarze teatru miejskiego, koncertach, kinach. Z wielkim wzruszeniem, niemal jak święto narodowe, przyjmowane były przez społeczeństwo lubelskie koncerty prof. Stanisława Szpinalskiego, który grał utwory Chopina i innych kompozytorów polskich. Koncerty te cieszyły się tak wielkim powodzeniem, że w prasie rozpoczęto kampanię na rzecz przywrócenia w programie radiowym stałych „śródszopenowskich” wzorem okresu przedwojennego.

Teatr wkroczył do Lublina z armią polską dosłownie w mundurze wojskowym. Był czas, kiedy w mundurach chodzili wszyscy od dyrektora poprzez aktorów do inspicjenta i suflera. Oglądaliśmy kolejno „Słuby panięskie”, „Moralność Pani Dulskiej”, „Uciekla mi przepióreczka” i wreszcie pod koniec listopada 1944 r. „Wesele”. Premiera stała się wielkim wydarzeniem artystycznym a sztuka szła w kompletach przez szereg tygodni.

Z początkiem września otrzymaliśmy pierwszy numer czasopisma kulturalnego „Odrodzenie”. Numer ten otwierała „Modlitwa” Juliana Tuwima i lista zamordowanych przez okupanta pisarzy i poetów. W październiku wyszły z druku pierwsze tomy poezji Przybosa, Putramenta, Ważyka i Pasternaka. Rozpoczęła działalność świetlice, kluby różnych związków zawodowych, organizujące wieczory literackie, estrady żywego słowa. Zorganizowano spółdzielnię wydawniczo-czytelniczą „Czytelnik”. Prowadzono przyspieszone kursy dla instruktorów oświatowo-kulturalnych. Przystąpiło do pracy Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego organizujące życie kulturalne młodzieży. W grudniu — dużym nakładem pracy — zainaugurowano święto książki polskiej. Jednym z podstawowych elementów imprezy było urządzenie wystawy książki polskiej skonfiskowanej przez Niemców. Zobaczyliśmy na tej wystawie w ciągu pięciu lat okupacji nie widziane, zagrabione z bibliotek publicznych, uniwersyteckich, pry-

watnych cenne dzieła wielkiej literatury polskiej.

Wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe cieszyły się olbrzymią frekwencją. Niekiedy impreze artystycznej towarzyszył dodatkowy „wabik”. W anonsie dodawano dyskretnie zdanie, że „sala jest ogrzana”. Kto nie był tej pamiętniej jesieni w Lublinie, kto nie chodził w zimne listopadowe dni „do figury” lub w wiatrem podziwiał paletki, ten nie zrozumie, jaki urok kryło w sobie zapewnienie możliwości spędzenia wieczoru na uczcie duchowej w ciepłym, zacisznym pomieszczeniu.

Prawdziwym wydarzeniem, krzepiącym i radosnym przeżyciem w stało się powołanie w ówczesnych

(Dokończenie na str. 12)

W Teatrze im. J. Osterwy

„Tysiąc szlagierów...”

PAMIĘTAMY lata, kiedy hasło brzmiało: „Potrzeba nam Gołogów i Szczedrynow”, dramaturgom zaś niepełno było do tej misji, bo śmiech, będący podobno zdrowiem, nie zawsze na zdrowie wychodził. Dzisiaj śmiech odzyskuje swoją funkcję zdrowotną, a więc baw się śmieie, mój aniele... Lublin zaczyna nawet przodować w produkcji śmiechu. Mamy śmiech na sali w dwóch teatrach na raz — i raz po raz. Cóż, Ala ma kota i Ala kocha na co dzień musicale tudzież rewie, ponuraczy od Szekspirów są be i fe!

Widowisko słowno — muzyczne „Niech no tylko zakwitną jabłonie” dotarło do Lublina w aureoli wielkiego powodzenia i pełnej aprobaty. Jest niewątpliwie krajowym osiągnięciem powojennym w gatunku estrady. Przez analogię do wspaniałego „Kramu z piosenkami” Leona Schillera zostało wprowadzone na tak zasłużoną scenę, jak Ateneum, rozbijając w ten sposób piorunem karierę. Na pewno składanka Agnieszki Osieckiej będzie się podobała znakomitej większości lubelskich widzów. Już się podoba. Fama się rozszedła po mieście wręcz entuzjastyczna, bilety wykupiono na kilka tygodni naprzód.

Skoro żyjemy w erze „anty-dramatów”, nie czepiamy się braku osi dramatycznej w rewii, boć pod „komedię muzyczną” nie da się podciągnąć „Jabloni” przy największym rozróżnieniu kryteriów. Są to właściwie, powiedziabym plastyk, dwa collage (czytaj: kolaże — kolażki), na które składają się intelektualnie wykorzystane kawałki autentycznych: komunikatów prasowych, wspomnień, listów itp. Kilka lat temu utalentowany dziennikarz ścieśkający Ryszard Smolewski pokazał w montażu estradowym „Pięć pytań”, jaki świetny użytek można zrobić z takiego surowca. Znalazło się w „Jabloniach” miejsce i na parodię powieści sensacyjnej (motyw nleco ograny). Ale nad wszystkim góruje piosenka. Niektóre teksty są wydłowane ze swobodą marché aur puez, z twórczością podwórkowej —

te są najsmieszniejsze. Gorzej się dzieje z tekstami nabytymi na tandecie literackiej, zwłaszcza w części pierwszej, gdyż druga, związana treściowo z początkami odbudowy kraju, ma nobilitujące przebiegły septymety.

Oto jednak co mnie trochę niepokoi: melodie są przeważnie wzdzięcne, chwytliwe, więc wlaży za ich sprawą do ucha wszelkie paskudztwo słowne. W partiach „serio”, temu i owemu widzowi wydaje się nawet taki wierszyk śliczny, ten i ów krytyk orzeknie autorytatywnie „Song!” i będzie się to zakorzeniało w dramaturgii polskiej.

Sekret szerokiego powodzenia „Jabloni” polega chyba na obfitości przyjemnych melodii. No i, oczywiście, na zawrotnym, typowo rewiiowym, ruchu scenicznym. I na łatwym dowcipie. Próbowałam sondować widzów: najbardziej nudzący się na satyrze Miecugowa i Kwiatkowskiego „A to ci Wesele!” — zachwycający się „Jabloniami” największej.

Rewia Osieckiej oferuje reżyserowi ogromne pole do popisu. Zbiętnie Czeski, który obraca się swobodnie w kręgu satyry, wykorzystywał wszystkie szanse, nadając tworzywu estradowemu audiowizualną spójność, tak że zarówno część pierwsza (dwudziestolecie międzywojenne), jak druga (niedawno miniony okres), ma rzez można swoją fizjonomię, choćby i o rysach nakreślonych gdzieś w głębi duszy, szczególnie w pierwszej części, grzeszącej pewną monotonią już w egzemplarzu, coś niecoś smuci zamiast bawić, czy bawi zamiast smucić, ale grunt, że jest w całości duża pomysłowość inscenizatorska i nastolatki. Wiele się zawdzięcza Marianowi Drozdowskiemu (Entrepreneur), który uśmiechem jakby odrobinę rozbrajaającym prezentuje widowisko w odpowiednim tonie. Właściwie wszystkim aktorom nale-

ża się komplementy, bawiąc się pierwszorzędnie sami, potrafili zarazić wesołością całą widownię. „Szampańska” jest Maria Szczechówna w swym popisowym wcielaniu w części I (Buba, kobieta lukusowa), uroczą jako Rebeka, „posadzona na huśtawce, Jolanta Bohdal staje się przezbawą Helą Nowe Pokolenie, bardzo się podoba Kryśka traktorzystka, która gra Maria Kackowska, niemała doza sukcesu przypada w udziale Ludwini Nowickiej, dzięki przejmującemu wykonaniu słynnej przedwojennej piosenki „Meine jidische Mame”. Godna podziwu jest aktywność Witolda Lisowskiego (Gość Kłoty Placi, potem Pan Walerek), jak również Stanisława Stojki (Chłop Ze Wsi i Kolega z Wojska — tylko nie wiemy, po co mu kazano tańczyć z kobietą lukusową). Tadeusz Bou-

(Dokończenie na str. 15)

LEOPOLD LEWIN

Lęk

Lęk
Naszymi kleru ruchami.
Lęk
Nasze kroki prowadzi.
W kwiatach
Trzepocze lek
Przed zerwaniem,
W dniu urodziny —
Przed utargnięciem
W jej wnętrzu.
W męczynie —
Lęk.
Ze umrze
Przed spełnieniem.
Kwiat
Pożądliwa
Zrywa dłoń.
W dniu urodziny
Obca uderze się przemoc.
Męczynie
Idzie w śmierć
Przed spełnieniem...

GABRIEL KARSKI

Cień

Czekałem,
czekałem na ciebie
w tamtym „naszym” ogrodzie. —
Upływał czas,
czekałem —
choć wszystko było wiadome —
liczyłem przechodnię w sąsiedniej alei
i ptaki na drzewach...
(Wiesz, są takie naiwne wróżby:
przyjdzie, teraz przyjdzie...)

I nie już więcej,
to wszystko.

Tylko, tylko... nie przechodziś tamtędy,
bo potkniesz się o mój cień,
mój martwy cień,
który padł tam i został
i leży w poprzek alei.

Pieśń o znikomości

Jestem, więc mnie nie będzie,
jak Adama i Ewy, jak zmarłych moich najbliższych,
przyjacieli i znajomych,
jak reszlorocznego śniegu,
jak reszlorocznego kwiatów.
Jestem, więc mnie nie będzie,
ani mojej radości,
że jestem,
ani mojego smutku,
że mnie nie będzie.
Tymczasem cieszę się
jabłkiem i kobietą,
ulicą i kaluzą
i każdym dobrym człowiekiem
wśród niezliczonego mnóstwa złych ludzi,
każdym dobrym człowiekiem,
którego dobro jest objawieniem
i drugą stroną medalu tego świata.
Szkoda tylko, że ta druga strona wbrew logice
jest znacznie mniejsza od pierwszej.
Szkoda, że wskazówki zegarowe rzadko
wskazują godzinę dobroci.
Jestem, więc mnie nie będzie.
Czym będę, kiedy mnie nie będzie?
Piasek odpowiada,
że będę piaskiem,
trawa odpowiada,
że będę trawą
i tylko słowo, z którym się od lat borykam,
nie odpowiada mi
że będę długotrwałym słowem.
Jestem, więc mnie nie będzie,
jak anioła ulepionego z wosku,
który roztopił się w ogniu,
jak kominarza, który spadł z dachu
i rozbił się na śmierć,
jak zmierzchu sprządamy
który pachniał gwiazdami
i powszednimi oczami mojej żony,
jak pług koła wozu,
jak...
nie wiem już, jak mnie nie będzie.
Wiem tylko, że jestem,
więc mnie nie będzie.

Z nocy syple się popiół jak z czarnej urny.

BOGDAN ŻYRANIK

Patrzeć

Nie nie istnieje prócz czaru istnienia:
uśmiech się w słońce, słońce w uśmiech zmienia.

Sosna iskrząca śniegu pioropusem
omyloną chałmą już przywraca dniowi.
Świat się otwiera żrenicą błękitną —
uśmiechy kwitną i cmentarze kwitną.
I starszowie gwiazdy w górze proszą.
Na drogach świata blask się zadomowi.

Nie nie istnieje prócz czaru istnienia.

Rozśmiejecie się z mego patrzenia...

WACŁAW MROZOWSKI

Rozmowa cieni

Za oknem śnieżny wulkan bucha,
a tu komin, czajnik z gwizdkiem,
żona i córka wiatru słucha.
Na ścianie cienie. Trzy. Nas wszystkich.

I biurko. Moje stare biurko,
jak dąb wiekowy pochylone —
coż więcej trzeba, moja córko,
myślę wpatrzony w nią i żonę.

Jesteśmy jak śniegowe płatki
cieniem na ścianie roztańczone —
trzy różne życia, trzy zagadki —
poeta, młoda córka, żona.

Iglwie trzyczęści, iskry leżą,
a my zapadliśmy w milczenie —
w półmroku rozjarzonym świecą
niech rozmawiają nasze cienie.

Rozmowa cieni: — Patrzą fotografia. — Ach to żona,
feniks, co spala się w mym kręgu,
nad moim życiem pochylona.
— A obok? — Małgorzata obok
trochę dziewczyny, tak jak obok
w migocie gwiazd na widnokręgu.

— A tutaj widzisz?

Ach, marzenia.
Nie ma nikogo. Pokój pusty.
Nie ma kominka, świec i cieni.
I nas też nie ma. Złotousty

poeta w wyobraźni chmurze
tonący na tratwie narkotyku
zatrzymał fragment snu na piórze —
snu, który z jawą był na styku.

Eksport pięknego słowa

lekcyj dzieł o istotnych wartościach humanistycznych i o niewątpliwym artyzmie.

Akcja taka ma wielką przyszłość, ale i bardzo odpowiedzialne zadanie. Bo stwierdzając bezspornie rosnący w szybkim tempie ogólny sukces literatury polskiej w świecie nie można zapominać o tym, że strażą pewnych dysproporcji geograficznych i tych objawiających się w stosunku do ciężaru

dnoczących nadzwyczajnie uniwersytetu w Detroit, Edmunda tłumacze, rozróżniali w polskiej literaturze. Przemocno polskiej ich krajów. W związku z tym wielkie środowisko literackie powołało by wystąpić do czynników kierujących naszą polityką kulturalną z postulatem opracowania najlepszych kontaktów z wydawnictwami



gatunkowego poszczególnych dzieł.

Otóż z satysfakcją notujemy wysoką — zbliżoną do tysiąca — liczbę przekładów dokonanych w Związku Radzieckim, gdzie nie ma chyba ani jednego piśmiennego narodu, który by się nie dorobił choć paru przekładowych pozycji z polskiej literatury pięknej. Kolejną wysoką lokatę uzyskali: Czechosłowacja, NRD i NRF, Węgry, Jugosławia, Włochy, Bułgaria, Izrael, Francja, USA, Rumunia, Wielka Brytania, no i, powiedzmy, — Hiszpania (40 tytułów). Lecz dla niektórych krajów nasza literatura piękna z całym jej bogactwem jest jeszcze niemal terra incognita, a szczerze mówiąc w tej Francji, reprezentowanej na zaikowskiej mapie przekładów 63 tytułami, i w USA (65) — pojemność rynku księgarskiego mogłaby dawać literaturze polskiej większe szanse. O trudnościach na rynku francuskim mówiła w czasie zjazdu Anna Posner, sytuację w Stanach Zje-

zaliczającymi i zapożyczającymi ich we wszechstronne, dokładne informacje bibliograficzne z różnych klasyki i literatury współczesnej, w której coraz bardziej intensywną rolę zaczynają grać debiuty.

Nie ma powodu ukrywać, że starannie urządzona w ZAIKSIE wystawa dzieł polskich opublikowanych w językach obcych uświadomiła sporo niedoborów, pochodzących nie tylko z skrajnego zachwiania kryteriów selekcji książek przeznaczonych na popularizację za granicą, — ale i po prostu z braku obrotowych informacji.

Mam wrażenie, iż w ogóle sprawę skrupulatnego informowania o różnych dziedzinach życia wymaga u nas generalnego podciągnięcia na wyższy poziom. Wiadomo, że zrozumienie skrajną drogą do porozumienia.

Toteż i Międzynarodowy Zjazd Tłumaczy Literatury Polskiej był na pewno wielkim krokiem na przód w międzynarodowej współpracy kulturalnej.

Przechodząc po zjeździe koło lotnej Nike skojarzyłam mimo woli jej symbolikę z losami polskiej literatury pięknej...

IGNACY GASIOROWSKI

* * *

Synowi

Bądź jako morze — słonecznym szumem
napelniające muszle czasu
na przyszłe dni.

Bądź jak grający strumień
płynący z lasu
pasiecznych łąk.

Bądź zakończonych radością powiek
w chwili powrotu.

Bądź przede wszystkim prosty jak człowiek:
— drążący ziemię potok.

JAN KOPROWSKI

O jesieni

Znowu nadeszła jesień,
lecz nikt już o niej nie pisze.
O wiosnie i jesieni
wstydzą się pisać poeci.

Czterdziesta czwarta jesień
nastąpiła nagle, zmieniaczka.
Zaskoczyła mnie w czasie spaceru
liściami, co upadł pod stopy.

Szkoda, że nie potrafię
zrymować z jesienią uniesień.
Rymy już wyszły z mody
i jesień jest starszowiecka.

A przecież żal tych wierszy,
tak wiele ich napisano
O mgłach i liściach, o deszczu,
o wrześniu i listopadzie.

Były jesienie złote,
słodkie, melancholijne.
Jesienie polskie i obce,
jesienie bohaterskie.

A teraz nie ma żadnych
jesieni i wierszy nie ma.
Bo cóż, że liście są złote,
skoro nikt o nich nie pisze.

Jerzy Dostatni CO ROBISZ, INŻYNIERZE?



Fot. A. Polakowski

— Pracuję — odpowie każdy, zdziwiony nieco tak prostym pytaniem. A jednak pytanie okazało się wcale nie takie proste, jeżeli będziemy bardziej dociekliwi, pytając: a co właściwie robisz? I nie chodzi tu wcale o to, że jeden pracuje przy produkcji samochodów, inny przy wyrobie maszyn rolniczych czy mebli. Rzecz polega na ustaleniu względnej efektywności pracy, na ustaleniu, czy jest to rzeczywista praca inżynierska, czy też taka, którą może i powinien wykonywać ktoś inny? Ktoś, kto ma mniejsze ale wystarczające kwalifikacje, w czymże wykształcenie włożono mniej pieniędzy i wysiłku, kto w stosunku do koncepcyjnie pracującego inżyniera powinien spełniać rolę usługową czy uzupełniającą.

Taka jest praktyka

Koncepcyjnie pracujący inżynier... Pięknie to brzmi. Ale jaka jest praktyka? Oto lubelska Fabryka Samochodów Ciężarowych. Nie tylko największa, ale i jeden z najlepszych w województwie zakładów pracy, szacujący się wielu wyróżnieniami i pochwałami, szanowany i zwycięstwami we współzawodnictwie krajowym. A w tym zakładzie biuro konstrukcyjne.

Większość zatrudnionych tu ludzi to inżynierowie z wysokimi kwalifikacjami. Pozornie bardzo dobrze. Ale w praktyce jest inaczej.

Przed wszystkim żadna pragmatyka służbowa, żaden schemat organizacyjny, umowa zbiorowa czy tzw. zakres obowiązków służbowych nie przewidywa pojęcia „pracownik koncepcyjny”. A ponieważ każdy jest „wykonawcą”, więc otrzymuje do wykonania plan — w tym wypadku tyle, ile obliczeń, tyle rysunków, tyle części opracowanych. Więc inżynier myśli tylko o tym, aby wykonać plan, bo przecież od tego zależy pochwała dla biura i fabryki, premia czy nagroda.

A gdzie jest służbowa przewidziana dla konstruktora czas na czytanie najnowszej literatury technicznej świata? Zrobiliśmy już pierwszy krok, tworząc biura informacyjno-techniczne. Konstruktor dostaje duży wykaz książek i czasopism, z których może dowiedzieć się wiele nowego, napiszą mu nawet, gdzie te książki i czasopisma są. Ale wszystko to powinien przeczytać w domu rezygnując z czytania literatury pięknej, pójdą do teatru, oglądania telewizji, zagrania na brydża. Teoretycznie w biurze też może czytać, nikt go za to nie ukarze — ale planu nie

wykona. I brak premii będzie dotkliwą karą za to, że chciał poznać nowości, że chciał coś szczegółowo przemyśleć.

Dlaczego „Samosia”?

Inna sprawa. Koncepcyjnie pracujący inżynier powinien tworzyć koncepcje, obliczać kontury pomysłu, rzucać na papier szkice rysunków, przedyskutować to z kolegami. Przeprowadzenie dokładnych obliczeń to rzecz technika, rysunki powinienn wykonać kreślarscy. Pod nadzorem i przy współpracy z inżynierem. Ale w biurze konstrukcyjnym FSC na 1 inżyniera przypada tylko 0,8 technika, a jeszcze znacznie mniejszy ułamek kreślarszy. W rezultacie inżynier liczy i rysuje sam, a ponieważ brak nawet gońca, biega onobiście do maszynistki, do powielarki, stara się o papier. Czy po to jest inżynierem?

Albo główny konstruktor. Nazywa się pięknie. Ale trzeba pamiętać, że — zgodnie zresztą ze schematami — w całym naszym przemyśle — jest on również kierownikiem działu. Również czy przede wszystkim? Jako kierownik musi zajmować się planowaniem i sprawozdawczością, które — mimo sporadycznie przeprowadzanych ograniczeń — rozrastają się niczym hydra. Musi zajmować się urlopami i zdrowotnymi i chorobowymi pracowników, jest odpowiedzialny za prawidłowe sporządzenie kart pracy 40 pracowników fizycznych prototypowi, musi chodzić na narady i sam je urządzać, czytać i przekazywać w dół mniej lub więcej sensowne okólniki i zarządzenia, podpisuje przepustki, wyłącza się z zaopatrzeniem i transportem... Można tu jeszcze dopisać przynajmniej 20 innych czynności, które należą do normalnych czynności każdego kierownika. A tych nienormalnych — raczej ponadnormalnych — nigdy też nie brakuje.

W szerszej rozmowie główny konstruktor inż. Tański przyznaje:

— Podlegają mi cztery wydziały biura. Każdemu z nich mogę poświęcić dziennie — jeżeli chodzi o inżynierską pracę — 40–45 minut. Na więcej nie wystarczy mi czasu. Staram się łączyć zagadnienia 2 czy 3 wydziałów w jednej rozmowie. Ale po pierwsze nie zawsze można, po drugie wcale nie jestem pewny, czy nawet wtedy gdy można, mój wkład we współpracę z podległymi mi wydziałami jest dwukrotnie większy.

Przykładów z innej dziedziny też nie brakuje. Lubelskie Zjednoczenie Budowlane wyliczyło, że w wykonawstwie (co za brzydki wyraz!) pracuje zaledwie połowa inżynierów budowlanych, znajdujących się w województwie. Są wielomilionowe budowy, na których inżynier jest tylko gościem, gdy zostanie skierowany tam na inspekcję przez dyrektora przedsiębiorstwa. W Świdniku — na jednym z większych placów budowy w województwie — pracuje tylko jeden inżynier. Ba — nie wszyscy dyrektory techniczni przedsiębiorstw budowlanych są inżynierami. A równocześnie...

Gdzieś przed 7 laty w jednym z pism codziennych ogłoszono duży artykuł o bliskim rozpoczęciu budowy nowej, największej dzielnicy mieszkaniowej Lublina — Kalinowszczyzny. Do tego były dołączone reprodukcje planu urbanistycznego oraz rysunki rozwiązań architektonicznych budynków i placów. 7 czy 8 inżynierów pracowało nad tym prawie półtora roku. Inżynierowie — architekci, konstruktorzy, elektrycy, instalatorzy, urbanisci — zabierali się już do wykonania rysunków roboczych oraz kosztorysów dla wykonawców.

Ala najpierw zabrakło pieniędzy i roboty wstrzymano na rok. Potem kolejno zmieniali się normatywy urbanistyczne, normatywy mieszkalne, ceny materiałów budowlanych, system sporządzania kosztorysów i rozliczeń, przepisy sanitarne, rodzaje i wymiary prefabrykatów itd. itd. Niemal za każdym razem istniejące już plany dostosowywano do nowych przepisów. To znaczy zmieniano urbanistykę, wielkość mieszkań i pokoi, wyposażenie kuchni, parkiety na płytki PCW, płytki PCW na mozaikę, prefabrykaty z Lubartowa na prefabrykaty z Warszawy, warszawskie na lubelskie. Wszystko to wymagało bardzo wielu przełżeń, nowych rysunków, nowych koncepcji. Grupa inżynierów pracowała i pracowała, odbywały się posiedzenia kolejnych komisyj oceny projektów inwestycyjnych z nowymi inżynierami, inżynierowie sporządzali referaty i koreferaty, inżynierowie z biura projektowego ugałdali dziesiątki rzeczy z inżynierami z poczty, wodociągów czy kanalizacji.

Dzisiaj, po 7 latach jesienią niemal w tym samym punkcie, co wtedy. Dzielnica nie ma zatwierdzonego planu urbanistycznego, przed rokiem zaczęto budować kilka pierwszych budynków na podstawie odrębnych ugałdań! Na wiosnę ma się rozpocząć budowę kilku

dalszych domów według zestawu wojewódzkiego projektów typowych, który — jak mówią budowlani — jest jeszcze w proszku.

A jednocześnie w tym samym Miastoprojekcie stosunek inżynierów do techników i kreślarzy jest niemal taki sam, jak w FSC. To znaczy, że inżynierowie robią kosztorysy, sporządzają rysunki robocze najdrobniejszych szczegółów. W tym samym biurze projektów jeden z najstarszych stażem pracy inżynierów, autor budynków wznoszonych i chwalonych poza Lublinem, miał kiedyś trzech asystentów — teraz żadnego. I wszystko liczy i rysuje sam. Jak mówią wtajemniczeni, finansowo na tym nie traci, raczej odwrotnie, ale to wynika tylko z wielkiej rutyny i dużych zdolności, a także i wielu godzin dodatkowej pracy w domu.

Gdzie tkwi błąd?

Przytoczone tu przykłady z FSC i Miastoprojektu o tym, co robią i czego nie robią inżynierowie, nie są przykładami odoobnionymi. Nie są one także dowodem zlej organizacji pracy właśnie w tych jednostkach. Istotnych źródeł nieprawidłowości trzeba szukać gdzie indziej. Częściowo w zbyt częstym zmianie różnych normatywów i przepisów. Intencja tych zmian jest słusza, ale błąd tkwi — moim zdaniem — w tym, że do każdej zmiany przepisu czy normatywu podlegającym wszystkim, co to jeszcze nie jest skończoność, nie patrząc na wkład pracy już wykonanej. Zmiana przynosi jakieś korzyści, jest usprawiedliwiona w skali krajowej czy wojewódzkiej, ale nikt jakoś nie zadaje sobie trudu zbadania, czy w konkretnym wypadku zmiana opłaca się. Czy zysk, jaki przyniesie, nie będzie mniejszy od poniesionych nakładów.

Zmiany, jakie już się wprowadza i projektuje się w niedługim czasie

wprowadzić w wykonaniu uchwał IV Plenum KC PZPR, są bardzo poważne. Usprawnienie planowania i zarządzania, mniejsza liczba pracowników, nowoczesność produkcji, rentowność, generalnie obowiązujący rachunek ekonomiczny — wszystko to już zaczyna przynosić owoce. Od naszej konsekwencji zależą dalsze.

Wydaje mi się jednak, że — jak dotychczas — nie nauczyliśmy się jeszcze dokonywać rachunku ekonomicznego w prawidłowym wykorzystaniu kwalifikacji ludzi. W tym wypadku pracy inżynierskiej. A na takim właśnie rachunku oparta była m. in. decyzja Ministerstwa Szkół Wyższych, które nie chce zgodzić się na uruchomienie wydziału budowlanego w lubelskiej Wyższej Szkole Inżynierskiej. Z bilansu bowiem krajowego, a w dużej części i wojewódzkiego, wynika, że liczba inżynierów jest w sumie wystarczająca.

Za dwa miesiące odbędzie się w Katowicach kolejny Kongres Techniki. Jednym z omawianych tam tematów będzie właśnie prawidłowe wykorzystanie kadr technicznych, zwłaszcza inżynierskich. Temat jest poważny, w wielu wypadkach kontrowersyjny. Nie brakuje, oczywiście, i dobrych przykładów, o czym przed Kongresem chciałbym także napisać. Jeżeli wybrałem właśnie inne, to dlatego, aby na listopadowych i grudniowych posiedzeniach samorządów robotniczych, które będą głośno się nad zapewnieniem realizacji planu pierwszego roku przyszłej 5-letki, sprowokować dyskusję właśnie na temat wykorzystania inżynierów. Mamy ich w województwie — poza rolnictwem — ok. 1900. Potężna to armia, przede wszystkim jakościowo. Musimy nauczyć się wykorzystywać ją nie tylko w pełni, ale przede wszystkim prawidłowo.

STANISŁAW FORNAL

TEJ miejscowości brak nawet na względnie dokładnej mapie turystycznej Kielecczyzny. Gdyby ją zaznaczono, byłby to mikroskopijny punkcik w pobliżu miasteczka Odrzywołu, w północno-wschodniej części powiatu opoczyńskiego. Lipiny — mała wioska wśród pól i łąk i sosen. Bez bogatej przeszłości, założona niespełna sto lat temu jako kolonia Odrzywołu. Sama przyczyna powstania Lipin nie była zbyt budująca: zaczęło się ponoć od... kłótli w którejś z odrzywolskich rodzin. Ktoś z poróżnionych zawołał pod adre-

Srebrne gody wytrwałości

Niezwykłe dzieje jednej szkoły

sem familii: „Mam was dość”, spakował dobytek i przeniósł się na nowe miejsce. Za nim poszło paru innych i tak stanęły pierwsze trzy, cztery chałupy. Dziś jest ich trochę więcej, wciąż jednak daleko Lipinom do rangi bodaj średniej wielkości wsi. Cóż zatem może być tutaj ciekawego?

Owszem, jest. Autentyczna szko-

ła średnia i to o nie było jakiejś historii!

U kresu tegorocznych wakacji zjechali do Lipin nauczyciele, absolwenci i licznie zaproszeni goście, ażeby święcić 25-lecie istnienia tej szkoły, a raczej — szkół. Obecnie jest to Technikum Ekonomiczno-CRS „Samopomoc Chłopska”. Ale nie pod tym szyldem inaugurowała szkoła swoją działalność ćwierć wieku temu. Zresztą wtedy, w roku 1940, o żadnym szyldzie nie mogło być mowy... Jak w całej Centralnej Guberni tak i tutaj, szkoła średnia mogła istnieć jedynie w konspiracji.

Nasuwa się pytanie — jakie tradycje oświatowe znalazły się u podstaw uczelni pod strzechą?

Słowo o tradycjach

Dr Helena Spoczyńska, główna organizatorka tutejszego tajnego nauczania, do dziś — dyrektor szkoły w jej kolejnych fazach rozwojowych wspomina:

— Już za czasów carskich w domu mojego dziadka zbierali się ludzie na śpiewanie pieśni patriotycznych, potem u nas — na czytanie „Trylogii” i innych książek. My, dzieci, zmalowaliśmy na ścianie w kącie krzyż na głos. Do szkoły mało kto chodził, bo było daleko i brak miejsca. Czytać, pisać i rachować uczono się głównie po domach, jeden od drugiego... Stosunkowo późno, rodzice — częściowo kosztem sprzedanej ziemi — posłali do szkół dwie siostry, jedna i mnie. Uczymy się najpierw Końskich, potem byłem w szkole uchrońniarce w Warszawie. W roku 1918 zapisał się na kurs uzupełniający ma-

turalny w Krakowie, w 1919 r. zdałam maturę i wstąpiłam na UJ. Studiowałam polonistykę i historię. W roku 1925 dojechałam egzamin — gauszycielski i doktorski. Do 1929 roku pracowałam jako nauczycielka żeńskiego gimnazjum w Chorzowie. Wakacje spędzałam zazwyczaj w Lipinach. Miałam też stałe kontakty z okolicznymi działaczami oświatowymi. W roku 1932 powstał mi Związek Inteligencji Powiatu Opoczyńskiego. Uboh! to był powiat, pozbawiony całkowicie państwowego szkolnictwa średniego. Chcieliśmy coś zrobić, nieświsty, wybuchła wojna.

„Wracaj młodzież czeka”

Zdyscyplinowana nauczycielka starała się, mimo działań wojennych, dotrzeć do swej szkoły w Chorzowie. Stało się jednak tak, jak to znamy — powiedzonko „stacja Baby, wysiadać”. W Babach, koło Piotrkowa, ostrzelano i zbombardowano pociąg. Jednocześnie nadeszła wiadomość: Śląsk zajęty przez Niemców. Dr Spoczyńska wraca do Warszawy. Przeżywa obalenie stolicy. W październiku, już po kapitulacji, wędruje pieszko do Pruszkowa i stąd bydlęcym wagonem dojeżdża wrzesień do Chorzowa. Wszystko tutaj „nur für Deutsche”. Język polski zakazany. Próby tajnego nauczania. Denuncjacja. Tropiona przez swego b. dyrektora renegega, Dr Spoczyńska szuka schronienia w Krakowie. Przebywa tu od grudnia 1939 do września 1940 r. Pracuje w RGO, uczestniczy ponownie w tajnym nauczaniu. Tutaj też otrzymuje

wezwanie od siostry, również nauczycielki, przebywającej w Lipinach: „Przyjeżdżaj, młodzież czeka, trzeba ją uczyć!”

15 września 1940 r. Zofia Spoczyńska zjawia się w Lipinach.

Mocą paradosu dopiero w czasach hitlerowskiego terroru zaczęły się marniejsze tutejsze działy oświatowe. W Lipinach powstało tajne gimnazjum i liceum ogólnokształcące. Prowadziło działalność dwutorową: uczono młodzież i dorosłych. Równolegle odbywało się nauczanie w zakresie szkoły powszecznej.

Osobliwe warunki zewnętrzne i wewnętrzne zmuszały do prowadzenia zajęć w trybie znacznie odbiegającym od normalnej praktyki szkolnej. Nie mogło być mowy o skupieniu pedagogów i uczniów w jednym miejscu. Ustanowiono przede wszystkim punkty konsultacyjne, rozlokowane w okolicy, tam, gdzie mieszkali nauczyciele danych przedmiotów. Poza Lipinami, gdzie mieściła się „centrala”, i gdzie Dr Spoczyńska uczyła przedmiotów humanistycznych, punkty takie były w Brudzewie, Łęgonicach i Odrzywole. Uczniowie, pojedynczo, lub małymi grupkami, wędrowali z miejsca na miejsce.

Kadra nauczycielska rekrutowała się częściowo z pedagogów dyplomowanych, częściowo zaś z inteligencji innych zawodów (inżynierów, księży — jako nauczycieli łaciny itp.). Względnie dobre zaopatrzenie w literaturę i częściowo podręczników zawiądywało przeszłości nauczycielstwa okolicznych szkół.

Szczegółowym traktem, mimo parokrotnych niebezpiecznych sytuacji (Dokończenie na str. 15)



Dr Helena Spoczyńska w towarzystwie Mieczysława Moczara i innych zaproszonych gości na jubileusz szkoły. (Fot. CAF)

12

Starzejąca się Włodawa

HISTORIĘ Włodawy tworzyli ludzie wybitni. Założona przez króla, marszałka Ziemi Wołyńskiej w połowie XVI w. przez dziesiątki lat była w posiadaniu Leszczyńskich, którzy sprowadzili tu wychodźców z Czech i Państwa Rzymskiego. W Włodawie od r. 1633 przebywał Andrzej Węgrski, autor historii polskiego kościoła katolickiego. W r. 1648 miasto spalili kozacy Chmielnickiego, którzy wycięli przy tym kilka tysięcy Żydów. Pod koniec w. XVII jest własnością Ludwika Pojeja, późniejszego Hetmana Wielkiego Litewskiego, szczególnie zasłużonego dla rozwoju miasta. Mieszkańcy Włodawy z dziada pradziada handlowali bydłem, znane były szczególnie jarmarki w dniu św. Michała: „Samych wołów w owych świętomichalskich jarmarkach bywało do 20000; stąd prowadzono je do Krakowa, Wiednia, Berlina i dalej w głąb Niemiec z Wołynia i Ukrainy”.

Przeszłość naspikowana wielkimi nazwiskami tworzy obraz zbudowany na racjonalnej zasadzie. Miasto o bogatej tradycji kulturalnej, znane z tolerancji religijnej, potrafiło się przy tym urządzić po gospodarsku. Brak surowców mineralnych i znaczna odległość od dużych skupisk ludzkich z góry przekreślały rozwój jakiegokolwiek przemysłu, a później przemysłu. Pozostała ziemia. Soczysta łaki pały tysiące krow, wołów i koni — towar zawsze i wszędzie ceniony. Włodawa postawiła na handel.

Przed r. 1939 Włodawę zamieszkiwało już 10 tysięcy obywateli, z czego większość żyła z handlu. W każdy czwartek na włodawskim rynku odbywały się lokalne targi, a cztery razy do roku wielkie i daleko znane jarmarki. Zaledwie 523 mieszkańców zajmowało się rzemiosłem.

Włodawa była miastem atrakcyjnym, o możliwościach dalszego rozwoju; tu-

taj, posiadając nieco sprytu, a nie mając zbytnich skrupułów, można się było dorobić. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie istniało wówczas żadne większe miasto i dzięki temu Włodawa stała się centrum handlowym dla ludności osiadłej na wschód od Bugu.

Wojna zachwiała strukturą społeczną miasta. Niemcy wymordowali ludność żydowską, która poprzednio stanowiła 60 proc. ogółu mieszkańców.

Zmiana stosunków społecznych po r. 1945 otworzyła inne perspektywy rozwojowe, w których zabrakło miejsca na handel prywatny. Z około 5 tysięcy ludzi większość znalazła zatrudnienie w administracji miejskiej, w przeróżnych spółdzielniach i niewielkich przedsiębiorstwach państwowych, w służbie zdrowia i szkolnictwie. Niewiele pozostało przy warsztatach rzemieślniczych, część tradycyjnie gospodarzyła na roli.

W zmienionych warunkach zrobiono dużo. Widać to zresztą po asfaltowych ulicach przebiegających pod murami ładnych i nowoczesnych domów. Nowa rzeczywistość społeczna umożliwiła powstanie instytucji społecznych: działają we Włodawie trzy szkoły, szpital, ośrodek zdrowia, przedszkole, dwa domy kultury, kino, jest stadion i kawiarnia.

A jednak Włodawa nie jest dziś celem uwzględnianym w planach życiowych młodego pokolenia. Znalazła się w gorzym położeniu od wielu wsi uzależnionych przecież od niej pod względem administracyjnym. Chłop produkując, przez odpowiednią uprawę może rozwijać swoją gospodarkę; urzędnik włodawski tylko załatwia lub pośredniczy.

Byłaby retoryczna i paradoksalna: dla nowych ludzi można przyjąć do pracy, jeżeli etaty są wyczerpane? A w powiecie, łącznie z miastem liczącym 30 tysięcy ludzi, potrzeba niemal 3 tysięcy miejsc pracy. Gdzie je znaleźć, jeżeli w planach lokalizacji nowych zakładów przemysłowych nie uwzględ-

niono Włodawy. Jako miejscowości pozbawione surowców? Wystarczy jednak wyjść poza miasto, aby zobaczyć hektary lasu i kłopot, dzięki którym mogłaby przecież pracować niewielka fabryka włókiennicza. Takie okoliczne lasy są w stanie zapewnić surowiec dla przemysłu meblarskiego, czy papierniczego. Nie wykorzystanym bogactwem jest też torf (Krowie Bagno).

Włodawa jest miastem nietypowym. Brak przemysłu, czyli głównego czynnika miastotwórczego stawia pod znakiem zapytania jej dalszy rozwój. Ludzie zdają sobie z tego sprawę, szczególnie ci młodzi, którzy co roku kończą naukę w trzech szkołach i... opuszczają miasto. Część powraca na wieś, niewielu rozpoczyna studia na wyższych uczelniach, wielu za to szuka szczęścia w innych miastach; znikomy procent znajduje pracę we Włodawie. W rezultacie liczba mieszkańców powiększyła się w czasie całego dwudziestolecia powojennego o niecałe dwa tysiące i wynosi obecnie około 6 tysięcy. Jeżeli odjąć od tej sumy dwutyśnięczną niemal grupę młodzieży szkolnej, wśród której przeżawiają dziewczęta i chłopcy z okolicznych wsi, wówczas okaże się, że stałi mieszkańcy, to przede wszystkim ludzie starsi o ukształtowanych poglądach i tradycyjnych nawykach kulturalnych. Demograficzna przyszłość Włodawy lapidarnie określił jeden z młodzieżowych działaczy: „Jeżeli nie się nie zmieni, to za 5 czy 10 lat będą tu tylko starcy”.

Na zewnątrz miasto jest urodzliwe, zadbane, nie darmo zajmowało kilkakrotnie pierwsze miejsce w wojewódzkich konkursach czystości. Ba, Włodawa cieszy się pewną szansą. A jednak brak dynamicznej bazy gospodarczej (kształtującej określoną strukturę demograficzną) zawęża perspektywę rozwoju miasta. W jakimś stopniu warunkuje też pozycję kultury.

Działalność kulturalną prowadzi we Włodawie kilka instytucji. Niektóre z nich: Biblioteka Powiatowa i Miejska kierowana przez Olgę Potasińską, Dom Kultury Dzieci i Młodzieży kierowany przez Stanisława Bylickiego, mogą pochwalić się pewnymi sukcesami. Istotne osiągnięcia, na polu aktywizacji kulturalnej środowisk wiejskich, posiada także Związek Młodzieży Wiejskiej. Jednak pod względem zakresu i form działalności największe pole do popisu ma Powiatowy Dom Kultury.

Prace tego Domu trudno określić jako w pełni zadowalającą, pomimo że zainicjował on cały szereg wartościowych akcji. Jak Uniwersytet Powszechny dla Rodziców, regularne wystawianie filmów oświatowych, częste prelekcje i wystawy plastyczne. Pytalem o przyczyny. Odpowiadano różnie, lecz najczęściej wspominano o skromnych środkach materialnych.



W ubiegłych latach budżet Powiatowego Domu Kultury wahał się pomiędzy 218-220 tysiącami złotych. Nie było wówczas centralnego ogrzewania ani dobowanego trzy lata temu bocznego skrzydła. Obecnie dotacje na PDK wynoszą 280 tysięcy zł rocznie. W październiku br. nie starczyło już pieniędzy nawet na opłacenie światła i telefonu, na wszelkie potrzeby administracyjno-gospodarskie. Instruktor muzyczny stał przypomnia o konieczności kupienia nowych instrumentów. Nie ma pieniędzy, bo nie ma bogatego wujaszka — zakładu przemysłowego.

Z tych samych względów praca kulała także w powiecie. W referacie sprawozdawczym przygotowanym na powiatową konferencję Związku Młodzieży Wiejskiej przeczytałem: „Zespołów tych (artystycznych) byłoby znacznie więcej, gdyby pomoc PDK dla tych i nowo organizowanych zespołów była zadowalająca. W ostatnim okresie, jak wykazywały nasze obserwacje, personel fachowy PDK zamiast przebywać na terenie i pomagać za pracy zespołom, ogranicza się jedynie do działalności w obrębie PDK”.

Instruktor do spraw terenowych dość rzadko opuszczał Włodawę, ponieważ dotychczasowy dozorca PDK a jednocześnie kierownik służbowego motocykla, przeszedł do pracy w klinię. W tej sytuacji doradnie angażowano innego kierowcę, a na wszelki wypadek zapisano instruktora na kursa motocyklowy. Konsekwencje drobnych trudności są już problemami. Trzeba tu jednak (Dokończenie na str. 13)

TADEUSZ BARTOSZ

DO Żarnowa przyjechałem w poniedziałek, zaraz po niedzieli, która tu była wielkim świętem. Zarównanie obchodzili prawie milenium swojego „miasteczka” — 900 lat jego istnienia.

Prawie milenium. Tak, bo wszędzie mówi się, że Żarnów wymieniany jest w zapisach już w 1065 roku, ale...

... Kiedy benedyktyni z Mogilna otrzymali w 1065 roku akt uposażenia swojego klasztoru, to w akcie tym wymieniono Żarnów, który płacił miał światobliwym ojcom daninę z dwóch i pół grzywnen złożoną.

I Żarnów już w owym 1065 roku istniał od dawna, istniał jako starożytny warowny gród, stuletni co najmniej.

„Ex castris et curia suis in żarnow” — pisał Długosz o tym Bolesława Śmiałego nadaniu.

A później Żarnów przechodził z rąk do rąk, zmieniał swych właścicieli i panów. Tak też nadany został kantorii sandomierskiej i miał tu swojego kasztelana. Historia toczyła się i Żarnów nieraz grał w niej poczesną rolę.

Ale mieszkańcy Żarnowa zawsze ponosili ciężary, zawsze musieli moznym — dawać. Kroniki nie spisywały dzieł tych danin rok po roku. Od czasu do czasu, raz na stulecie, czy dwa, są dokumenty mówiące o tych powinnościach ludu, rzadziej o przywilejach i prerogatywach.

I tak na przykład w 1195 roku król Mieszko III, Starym zwany, dla zakonników wielce łaskawy, przyznał im prawo do pobierania dziesiętej miary miodu właśnie do żarnowskich bartników.

W poniedziałek, po jubileuszowej niedzieli w Żarnowie było drugie święto-jarmark. Autobus pokrzyknął niedługo po trudem przez tłum furek, koni i ludzi się przedzierając w kierunku rynku, gdzie postój chwilowy miał w drodze do Łodzi.

Tak bacznie kolorowe zapaski kobiety mają tylko w Opoczynie. Tu przeważa w nich najczystszy, pomarańczowy, albo bardziej swojski — nasturcji kolor, obok skromnie, nieco wystawionego niebieskiego, zielonego, czerwonego. To nie są kolory, jakie w sercu Gór Świętokrzyskich wiejskie kobiety od Krajna, Bodzentyna i Nowej Słupi, czy Suchedniowa noszą. Nie też wspaniałe nie mają z feirą barw łowickich zapaski...

Zebrało się tutaj tych bab z dwiema, wszystkie w owych prymywnych zapaskach; wspaniale kolorowe widowsko. Tu handluje się śmietaną, serem, jajami, góźdźniedzie jeszcze w kobiecie garść ostatnich późnych zieleniaków, opieńkę, kań.

Chłop, żarnowski szewcówna wystawił na progu domu swego buty. Ale jakie to buty! Czy widzieliście kiedy Niemce, „holzachu-

he”? Albo francuskie drewniane trepy do robót polowych? Ten żarnowski szewc wystawił takie właśnie albo podobne. Drewniana podszewka i trochę jakiejś półsurowej skóry.

Targowiska w Żarnowie na dobrą sprawę również mogłoby obchodzić swoje imieniny z milenium. Jak tylko gród warowny tu powstał, jarmarki odbywały się samorzutnie, ludzie przychodzili na nie wiedzieć potrzeby wymieniania choćby towaru na towar. Dopiero w 1221 roku Leszek Biały, książę Małopolski, starszy syn Kazimierza Sprawiedliwego, nadał Żarnowowi akt zezwala-

jącego na szkolnym konkursie zdobyła i nagrodę:

„Szeroka, piękna autostrada. Mkną kolorowe auta osobowe i błyszczące czerwienią samochody komunikacji miejskiej. Po dwóch stronach jezdnii kwitną drzewa. Jest piękne majowe popołudnie. Z daleka widać wysokie komin fabryki, a bliżej wśród zieleni kolorowe piętrowe domy. Wśród mkających aut mijamy tabliczkę „Żarnów”. To osiedle robotnicze Trojanowice. Na płaskich dachach wieżowców wyrastają do góry pręty anten telewizyjnych...”

Żarnów pod Szwedzką Górą

jący, albo raczej sankcjonujący istniejące od wieków jarmarki.

I dużo jeszcze mówi historia o żarnowskich jarmarkach. Wiele jeszcze rzec o nich decydujących musieli królowie. Łokietek na przykład w Tęczynie w 1308 roku uwalniał wsi klasztoru sulejewskiego od cla w Żarnowie, a w 1318 roku pozwalał król kmielcom i mieszczanom z dóbr klasztornych sprzedawać „inforo Żarnowiensci et Pyotrkowiensci... panem, carnes, sal, pennis et alia partienlariter seu membratim...”

W 1539 roku Zygmunt I Starym zwany, najmłodszy z Kazimierza Jagiellończyka synów, ponowili i umocnili od dawna służące żarnowskim mieszczanom przywileje, mocą których uwalnili ich od opłaty cel i targowej w całym kraju. Wtedy to chyba najbardziej rozwinęło się rzemiosło wszelkie, w cechach kuźnierzy, tkaczy, szewców, krawców i kowali, a nawet prasolów, „co to sół bałwanistą od Krakowa sprowadzali, rabali i w jej sprzedaży wyłączność mieli”.

Żarnów miał kiedyś swoją fabrykę. Była nią — fabryka sukna. Nie wiemy, ile ona ludzi wówczas zatrudniała, jaką miała produkcję. Żarnowianie wiedzą o tym z historii i stale swoją fabrykę wspominają, wzdychając dziś do dużego, nowoczesnego przemysłu. Nawet ci najmłodsi żarnowianie.

Oto jak sobie ten Żarnów przyszłości wymarzyła Grażynka, uczennica piątej klasy,

Czy taki będzie Żarnów przyszłości? Habennt sua fata... urbes — Wszystko jest w naszym socjalistycznym dniu jutrzejszym możliwe.

Żarnów uboga osada jest, wcale nie krociove jego dochody, ale ludzie chcą wyjść z tego jarmarcznego grajdola, dawno zdobyli już światło, chcą teraz wodociąg sobie pięknie zbudować, z głębownej studni podziemnymi akweduktami wodę po domach i zdrojach ulicznych poprowadzić. Opodatkowali się dobrowolnie żarnowscy „mieszczanie” na tę dobrą źródłaną wodę grubymy pieniędźmi. Głęboko w ziemi jest dobra woda, żarnowska wytwórnia wód gazowych, która jej już używa, ma szeroko ze swego smaku znaną wodę sodową, oranżadę, mandarynke... Nawet kierowcy samochodów, gdy w dni upalne tu się zatrzymują, tankują po kilkanaście butelek na dalekie trasy...

Onej uroczystej jubileuszowej niedzieli przypomniało ludziom o tych wszystkich małych i dużych sprawach. A więc żarówki elektryczne pała się już po wszystkich prawie wsiach żarnowskiej gromady — w Treszy, Dobrobie Wsi, Trojanowicach, Bronowie, Słeciu. Właśnie pracą zbudowali ludzie dwadzieścia i pół kilometra różnych dróg, a z funduszy państwowych dwadzieścia dwa kilometry powleczone asfaltem. Stał na rynku przy tabliczce 10tę, która

ruch autobusów PKS notuje. Wszędzie stąd dojeżdżasz — do Opoczna i Piotrkowa, do Łodzi, Kielc i Warszawy, a nawet do dalekiego Sandomierza, który w historii często o losach Żarnowa decydował mocą możnych jego rezydentów...

„Opoczyńskie kraje — korzec sieleż, kopę sprzątnięt, kopa korzec dale” mówią ludzie w Żarnowie, że niby piątą i szóstą klasę gleby, piasz, ziemia żytynio-jakowowa. A jednak zapobiegliwie gospodarują żarnowscy kmielce (tak godnie trzeba ich nazwać na to 900-lecie) na słu hektarach hodują średnio 33 krowy, świnek 67, owiec 56, koni 14 (gromada ma już pięć traktorów). Mają 118 słoów, w które 950 ton kisonkę weździe, a chcą jeszcze zbudować 251 tych byłychych spżarni.

Są w gromadzie żarnowskiej dwie dziury nazywane tu szumnie „kopalinami”. Glinę tam dobywają ogniodoporna i innych pełna zalet, że nawet Cmiełów ją bierze na porcelanę. To cały ich przemysł. Ale ziemia żarnowska ma ponoć nieprzebrane skarby te gliny, jak powiedział ludziom geologowie którzy tu za nią eksplorowali w ziemi. Już w przyszłym roku z państwowego mieszka przyjdą tu 4 miliony 164 tysiące złotych na budowę nowej w pobliskich Paskowicach kopalni. W tej chwili Paskowice słyną... tylko masami grzybów, krakusami tu nazywanych, w niewielkim lasu rosnących na tzw „Skale”. Ale — tylko poczekajmy, jak ruszy ta budowa.

A w Tręście koło Żarnowa są grube pokłady piaskowca, który nawet na Pałac Kultury w Warszawie poszedł. Żarnowianie prowadzą każdego przybyzka do miejsc, gdzie leżą przebogate żwiry, którymi drogę się futruje, ale oni mówią, że tutaj trzeba wytwórnie betonów budowlanych założyć. Jakieś legary, chodnikowe płyty i krawężniki z nich lepić. Kółko rolnicze chce się tym zająć, żeby tylko cementu dostateczny przydział mógł wycycygnąć...

I kto może teraz powiedzieć, że 900-letni staruch nie znacznie się odmladza? że wyobraźnia dzieci tylko piękną fantazją ma, czaruję... Ze nie będzie tu dużych fabryk, kopalni, kolorowych bloków, kina teatru...

Kiedy Szwedzi łupnia tegoż dali tu w 1635 naszym Janu Kazimierzowi wojakom, u do niewoli prz Skandynawów wzięci, kopiec tu usypać musieli na cześć zwycięzców „Szwedzką Górą” dotychczas nazywany prze wieść gminną.

To jedyna ocalała do dziś z przeszłości pamiątka. Nie ma tu innych śladów owych 900 lat czy zgola milenium. Nie ma tu jeszcze tego, co „oczami duszy” widzą młodzi żarnowianie. Ale on żarnowski dziej jutrzejszy już światła i chyba — piękny i pogodny będzie dzień.

(FRAGMENT POEMATU)

Wysłaliśmy z płomieni palących nasze serca.
Wysłaliśmy z ciemnych pieczar lęku i rozpacz.
Wysłaliśmy z rozżarzonego ogniem w oczach,
którymi niewinnie wierciliśmy przyszłość
do poszukiwaniu nowego świata.
Rękami, co odrzuciły przed chwilą karabin,
podnosiły: ziemię cegły i kamienie,
by składać je mozolnie w mury
odbudowywanych miast.
Rękami otartymi do krwi i drżącymi z niecierpliwości
przerzuciłyśmy nad rzekami żelazne reisy,
po których miały wkrótce dudnić pociągi.
Rękami rozdętymi z miłości i zapatu
darliśmy pola w brzozy skib.
My,
z widmem niedawno pożaru świata w oczach,
w ogniu dogasających łun,
w rzece niezakrzętej krwi,
w czadzie nieopadłych dymów krematoryjnych,
pod grozą czającej się jeszcze zza wągła śmierci
szliśmy wpaść w żółty leś słońca
— równi i wolni —
w świat,
w nowy świat,
którego świat zbudowaliśmy z tysiącletnich snów.

MARIA JÓZEFACKA

tatry, góry, konie łagodne
galop, tętent podziemnych przełęczy
grzybiy ostre, suplaste do ziemi
falujących grzbiotów szereg
tabun wartki, tatrzy niespokojne
przemijają, w pomroczu się wędzą
aż najszybszy jak szron sioliteńki
kopytami wykreśli kszczę

nadstuchliwać w tężęjącej ciemni
oczekiwać aż otoczą ciasno
i poniosą rozsypując gwiazdy
tatrzy, tatrzy, góry szalone

TERESA GABRYSIEWICZ

Ta Sara nie była ruda
żyto żyto pachniało
na wozie
mazowieckie z zapłtaną wyścig
bo kwiata miała za uchem
dziewczyna
wiedły w zbożu dwa wielkie
modrak
wyplakały barwę jak poranek
na tym wozie wprost z pola
pachnąca nie dziewczyna dziewczyna
Sara
wielkim jaskrem już była gwiaździstym
żyto żyto rumianki i mlece
czemu potem ta żytina i modra
krzewem wzrosła czertowym pod niebo



Tablica przypomina, że tu drukowano „Kamena” w latach 1933—1939.

„Światowa prapremiera...”

Na takie śartobliwe stwierdzenie — choć nie pozbawione prawdy — pozwolił sobie autor radiowej adaptacji „Sądu Parysa Krowiowa Trojańskiego”.

Z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego i 200-lecia narodowej sceny lubelska rozgłośnia PR przygotowuje trzy słuchowiska oparte na historycznych zabytkach języka polskiego. 7 listopada mieliśmy okazję usłyszeć pierwsze z nich „Sąd Parysa” Jakuba Lochera, przełożony na język polski przez nieznanego autora z XVI wieku. W 1522 roku, jak notują kroniki, utwór ten „Na zamku krakowskim odegrany był pod kierownictwem Stanisława z Łowicza przez 20 szlachetnie urodzonych młodzieńców i mężów, którzy zamieszkiwali w bursie Jeruzalem”.

Przypuszczać można, iż owa prapremiera teatralna w Krakowie odbyła się w języku polskim — choć pierwszy polski przekład wydany został przez Wietora w 1542 roku w Krakowie. Jedyny egzemplarz tej polskiej edycji odnaleziony został przez Hieronima Łopacińskiego i znajduje się obecnie w bibliotece jego imienia.

„Sąd Parysa” możemy uważać za najstarszą „grę polską drukowaną” — zaliczamy ją do dialogów żakowskich. W radiowej wersji utwór uległ oczywiście znacznym skrótom, zachowany jednak został język sprzed 400 lat.

Adaptacji radiowej dokonał Zbigniew Stepek, reżyserował Janusz Weronczak, a wykonawcami byli aktorzy lubelskiego Teatru im. Juliusza Osterwy. Jako tło muzyczne wykorzystano 16-wieczną tabulaturę Jana z Lublina.

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

Zabytki architektury romańskiej w Przemyślu

Z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Muzeum w Przemyślu odbyła się ostatnio w tym mieście sesja naukowa pt. „Przemyśl i Ziemia Przemyska w zaraniu dzieł”. Zadaniem sesji, była próba podsumowania najnowszych badań nad rolą i znaczeniem grodu Przemysła we wczesnym średniowieczu. I tak: prof. dr W. Hensel (Warszawa) mówił o początkach Państwa Polskiego w świetle najnowszych badań; prof. dr T. Lewicki (Kraków) przedstawił rezultaty swoich dociekań nad źródłami arabskimi i hebrajskimi do dzieł Przemysla; dr inż. arch. J. Frazik (Kraków) zajął się zagadnieniem architektury romańskiej Przemyśla. Pozostałe materiały przygotowali działacze skupieni w Przemyślu: mgr A. Kunysz zreferował rezultaty badań archeologicznych nad wczesnośredniowiecznym, przemyskim zespołem osadniczym, doc. dr F. Persowski mówił o problemach formowania się społeczności i teorii o powstaniu przemyślskiego Przemyśla w trakcie walk o władztwo feudalne od X wieku do roku 1340, dr A. Gilewicz zapozna zebranych z założeniami przygotowywanego przez siebie słownika geograficzno-historycznego Ziemi Przemyskiej w średniowieczu i wreszcie na zakończenie mgr J. Janowski (Krosno) przedstawił rolę przełęczy karpacczych w okresie wczesnego średniowiecza.

Najnowsze badania, prowadzone przez historyków, archeologów, historyków sztuki wykazują, że Przemyśl położony na ważnym szlaku komunikacyjnym, odgrywał w okresie wczesnego średniowiecza bardzo poważną rolę na pograniczu Małopolski i Rusi.

Wzmianki średniowiecznych kronikarzy, z reguły bardzo skąpe i fragmentaryczne, nie mogły dać pełniejszego obrazu przeszłości. W sukces przyszły im badania archeologiczne: przed paru laty badania te przyniosły sensacyjne rezultaty. Rewelacją było odkrycie w latach 1961/62 fragmentów aż trzech budowli romańskich. W ten sposób Przemyśl zajął nieoczekiwanie bardzo poczesne miejsce na mapie architektury romańskiej w Polsce.

Już sama liczba odkrytych budowli daje pojęcie o znaczeniu ówczesnego Przemyśla. W przeciągu kilkunastu miesięcy odkryto na wzgórzu zamkowym pałacem z rotundą a u stóp wzgórza zamkowego, pod prezbiterium katedry, znaleziono pozostałości drugiej rotundy. Obydwie rotundy mają niewątpliwie charakter sakralny, brak natomiast zgodności wśród badaczy jeśli chodzi o funkcję pałacu i najprawdopodobniej była to budowla mieszkalna, zajmowana przez feudalnego władcę tego terenu.

Nie ustalono jeszcze ostatecznie dat powstania poszczególnych obiektów. Zdaniem dr Frazika, rotunda i pałacem ze wzgórza zamkowego pochodzą z końca X bądź początku XI wieku, natomiast rotunda, leżąca pod prezbiterium dzisiejszej katedry — z XII—XIII stulecia.

Zbudowane prymitywną techniką rotunda i pałacem na wzgórzu zamkowym uległy daleko idącemu zniszczeniu, nieco lepiej natomiast przetrwały fragmenty późniejszej o ponad sto lat rotundy pod katedrą.

Zbudowana z kostki wapiennej rotunda pod katedrą przemyską, wzniesiona została techniką, którą posługiwano się od połowy XII wieku w Małopolsce, Czechach, zachodniej Europie, zwłaszcza w południowych Niemczech i również na Rusi Halickiej. Tak więc późniejsza rotunda przemyska jest podobna zarówno do budowli małopolskich jak i znajdujących się na Rusi Halickiej. Niewątpliwie mamy tu do czynienia z przenikaniem wpływów architektury z zachodu na wschód, przenikaniem, które dokonywało się w Małopolsce właśnie przez Przemyśl.

Kapitał zabytki architektury romańskiej w Przemyślu należałoby jak najszybciej udostępnić społeczeństwu. Ale nie jest to sprawa prosta, konserwacja tych unikalnych obiektów wymagałaby pewnych nakładów finansowych, których nie dysponują władze miejskie. W tym wypadku konieczna byłaby pomoc Ministerstwa Kultury i Sztuki, WRN i SPDS.

Obiekty przemyskie uważane są za najcenniejsze odkrycia tego rodzaju w okresie powojennego dwudziestolecia. Przemyśl należy do najładniejszych, najpiękniej położonych miast w Polsce. Wiodą dzisiaj tędy ważne szlaki turystyczne. Na południe, do Bukaresztu, Sofii, nad Morze Czarne, z zachodu, Francji, Niemiec do Kijowa, Odessy, na Kaukaz. Turystyczny charakter Przemyśla jest również argumentem — obok ogromnych wartości historyczno-kulturalnych obiektów architektury romańskiej — za tym, aby nie odkładać ad calendas graecas ich konserwacji i udostępnienia społeczeństwu.

EMIL GRANAT

Oczy

Dlaczego stoję
zamilczony nad zamkniętą furtką [oczuł]
W ścieżkach zwisających
[ze stronnych zboczy]
czy znajdę swoją?

Którędy przejdę
z tym wierszem
niosąc tobiek zielonych [wspomnień...]
Kiedys o oczy się upomnę
te najwspanialsze.

Idąc, gdzie bunt jest
wyważyć drzwi i wydepczyć nowe [ścieżki]
i w oczu studnie
rzucę pękniętych słów orzeszki.

STANISŁAW PISKOR

Koszenie

Rozdreszczenie źdźbeł po ostrzu
Zboża wychylają kielich nieba
do dna

Magnesy rak
zwierają oczy smugą cienia
w posuwający pokos
Brzęk ostrza po trawie chmur
drażnami błyskawic opryskuje
rozmydlone oczy nieba

by
ziarno padło w ziemię
po kwitnieniu
Rozpieszczając szkielet zmęczenia



W tym budynku, przy ul. Lubelskiej w Chełmie, mieściła się przed wojną drukarnia, w której drukowano „Kamena”. W 30-lecie założenia pisma społecznictwo Chełma ufundowało tablicę (strzałka wskazuje miejsce), którą wmurowano w ścianę domu.

Jeszcze
pierwsze strony...



1948



1953



1963

Starzejąca się Włodawa

(Dokończenie ze str. 13)

nak dodać, że Powiatowy Dom Kultury otrzymał niedawno m. in. krosno. W obecnym Domu Kultury mieści się także klub „Ruch”. Ktoś, kto nie posiadał, pocztowo aktywny, cieszył się znaczną popularnością, głównie wśród młodzieży, ale starszym nie wypadło przecież „niezależnie” od „Ruchu”, jeszcze swobodą tradycji „mistrzów” rodziny zapachniała „głęboko”. Nie tylko w tym wypadku, kiedy w jednym kręgu próbowało sprzątać zamknięte imprezy, przeznaczone dla młodzieży, padły zarzuty. Młody, kawa go podniecił, kupił szklankę i pójść na „Bugu”.

Powróćmy jednak do klubu „Ruch”. W kilku udanych imprezach w radzie sąbuj zarysowały się odmienne upodobania, które w konsekwencji zahamowały działalność kulturalną tej placówki. Można było tam wypić kawę, posłuchać aż do zmierzchu znanych i młodych piosenek (płyty, odczyty, przesyłki, prasy), popatrzyć na wystawy, wycieczki w dwóch przelotnych kioskach, ale skupiały się przede wszystkim kobiety. Te ostatnie znacznie niekwestionują, różnie przydzielano, zazwyczaj w ciężkich płaszczach, choć kolorystyki gorące. Co robił? Różni w kary, a młodo, nawet ci najmłodsi, w wieku 18-19 lat, stawali się aktywni, w „Ruchu” „Sportem” pomiędzy „bukiem go” i „drugim” „winem, krynem”. Niedawno wymówiono „Ruchowi” toż, lecz przyznajmy, że wszyscy kierując się „zadaniem”, „memento”.

Potoczna opinia twierdzi, że Powiatowy Dom Kultury „nie ma szeregów do kierowników”. Jest w tym sporo prawdy, bo na stanowisku tym pracowali zazwyczaj ludzie bez odpowiednich kwalifikacji. Zmienił się to często, lecz z różnych przyczyn. Jeden nie pracował, drugi przekraczał kompetencje, inny jeszcze miał braki w wychowaniu. Te kolejne sukcesy stały się dla „mieszkańców” rodzajem hazardu, którego przedmiotem był nowy „Kto to, jak długo się utrzyma?” — padły pytania poparte ścisłą obserwacją. W tym maseczku wszyscy się znają, tu najbardziej osobiste

sprawy nie uchronią się przed apetytem społeczeństwa. I tak zazwyczaj bywa, że sfera intymna człowieka zyskuje rangę kryterium jego wartości społecznej. Będąc we Włodawie dowiedziałem się, że: kto z kim spisał, kto kogo i za co uderzył, na czym intencje i w jakich powodów pani Z. dała na masę, kto jest narkomanem. W takiej atmosferze uduśi się najbardziej odporny człowiek. Mówi się, że ten czy ów nie nadawał się na kierownika PDK, z takich to, a takich względów. Dla czego jednak nie odpowiada się na pytanie, co odstrasza sprawdzone, zdolnych działaczy przed objęciem kierownictwa Powiatowego Domu Kultury we Włodawie?

We Włodawie ludzie są ambini, lecz w dziwny sposób realizują te ambicje. Każdy chciałby osiągać sukcesy na własną rękę i stąd trudności, jakie ma referat kultury Prez. PRN w koordynowaniu działalności kulturalnej na terenie miasta. Próby nawiązania kontaktu pomiędzy PDK, a Społecznym Komitetem Przeciwdziałającym z różnych przyczyn nie dają oczekiwanego rezultatu.

Instytucje społeczne i państwowe wykorzystują pieniądze przeznaczone na działalność kulturalną w osobliwy i wreszcie zresztą praktykowany sposób: drogą biletu do teatru, jeszcze dośrodek — wycieczki. PDK nie mógł dość do porozumienia z klubem „Ruch”, a rda klubowa istniała tylko formalnie. ZMS miał pretensje do kierownika PDK, a kierownik do przewodniczącego ZMS. Próby koordynacji działalności i koncentracji środków (poza nielicznymi wyjątkami) kończyły się z zasady fiaskiem. Brak pieniędzy jest faktem, a bogatego protektora nie widać. W innych miastach pomaga szary

kład przemysłowy. Kto tu ma pomóc? Ludzie! Sama inicjatywa i dobra wola niewiele można zrobić. Z tą „dobrą wolą” także nie jest najlepiej, bowiem osobiste ambicje i ambicje przesłaniały wielu działaczom społeczny sens ich roboty.

Wszystkie organizacje młodzieżowe i placówki kulturalne Włodawy cierpią na brak doświadczonej kadry. Młodzież ucieka do większych miast, zaciągają się do hufców pracy. Miasto nie jest atrakcyjne dla młodych, niewielkiej tylko grupie gwarantuje warunki nieodpowiednie dla stabilizacji życiowej. Optymizm młodzieży, która nabrała pewnego doświadczenia w pracy kulturalnej i reprezentuje pożądaną typ świadomości społecznej, utrudnia rytmiczną i konsekwentną działalność placówek kulturalnych. Zasadniczo środowisko posiada cały szereg cech, które tylko właściwych, mało dynamicznych.

Zauważyliśmy: największymi osiągnięciami mogą poszczycić się placówki takie, jak Dom Kultury Dzieci i Młodzieży, ponieważ przez dłuższy czas pracuje z młodzieżą związana z miastem bądź to rodzina, bądź biblioteczna nauka w szkole, oraz Biblioteka Powiatowa i Miejska stosująca formy bezpośrednio i ściśle nie wiążące, lecz przecież trwałe i zawsze w jakimś stopniu aktywne. Natomiast Powiatowy Dom Kultury borykał się z trudnościami, bo nie znalazł trwałych metod dotarcia zarówno do środowiska starszych mieszkańców jak i młodzieży.

Ireneusz J. Kamiński

Pejzaż z kominem

(Dokończenie ze str. 5)

szło bezkarnie. Tam, gdzie dawniej masy powietrza znajdowały tamę w postaci tysięcy drzew, teraz jest wielka wyrzyna. Każdy huragan będzie miał spustoszenie na kombinacie.

— Głupstwo! Nieszczęścia chodzą i po budowach. Huragan — zwykły przypadek. Nie ma o czym mówić. Trzeba usuwać awarie sieci elektrycznej, remontować uszkodzone dźwigi, suwnice...

11 lipca 1965 roku. Wmurowanie aktu erekcyjnego Azotów II.

Uroczystość — piękna rzecz, choć Pulawy II — to zaskoczenie, szok dla inwestora i wykonawcy. Sytuacja wygląda tak, jakby biegałby rozpaczliwie do przodu, a nie do tyłu. W dodatku przedłużono mu dystans.

Nim zorganizowano robotę, pracowano w piątek i w sobotę. Na dwie szczyty — mówiono. Dyrektorzy Kolodziej i Zdebiak o północy podpisywali jeszcze dokumenty. Brak było fachowców do obsady kierowniczych stanowisk. Dwójono się i trojono...

A jednak przełamano wzajemne niechęci, pretensje i uprzedzenia. Tubylcy — contra przybysze. Inżynierowie — contra naukowcy. Iż się o tym mówiło, pisało. Zwyklieli interes społeczny: pulawscy naukowcy wspólnie ze inżynierami zorganizowali ogólnopolską sesję „Mocznik w rolnictwie”. Jej celem

było spopularyzowanie wśród służby agronomicznej i rolników możliwości stosowania mocznika w nawożeniu gleby, warzywnictwie, sadownictwie, ogrodnictwie i żywieniu zwierząt. Czy to przełamanie lodów we wzajemnych stosunkach dwu środowisk ma charakter procesu trwałego?

Zmora dojazdów... Komunikacyjnej udręki i niedole. Grzechy PKS. Dziesiątki tego rodzaju tytułów zamieszczały gazety broniące interesów blisko trzytysięcznej rzeszy dojeżdżających na budowę z okolic Pulaw w promieniu 50 kilometrów. W opóźnieniach samochodów nie chodzi o minuty, lecz o godziny, które kradnie się z wolnego czasu robotników.

Dyrekcja pulawskiego oddziału PKS broni się: brak jest części zamiennych, co obniża gotowość techniczną pojazdów, powoduje zmniejszenie częstotliwości kursowania, liczne opóźnienia... Brak jest w Pulawach wykwalifikowanych kierowców.

Podstawowym warunkiem rozpoczęcia w terminie rozruchu Pulawy I jest ukończenie budowy elektrociepłowni. Chodzi nie tylko o energię elektryczną, bo tę można mieć z sieci krajowej, lecz o partę technologiczną i grzewczą.

Czy montaż ciągle jednak czegoś brak. Dostawę niektórych urządzeń są opóźnione nawet o kilka miesięcy. To hamuje tempo robót, stwarza dodatkowe przeszkody. A tu tymczasem widno zimy — coraz bliżej i groźniejsze: trzeba za wszelką cenę dążyć do uruchomienia drugiego kotła, bo jeśli w tym jednym zdarzy się awaria, kombinat — zamroźny!

„Pulawy 500” — hasło, które obiega kraj. W dziesiątkach fabryk dostarczających urządzenia dla kombinatu odczytuje się słowa apelu:

„W zakładzie Wazym mamy ulokowane zamówienia, których terminowa realizacja ma decydujący wpływ na rozruch (...)”. „Pneumatyczne są Waszej organizacji partyjnej do akcji Pulawy 500 w dużym stopniu przyczyniły się do przyspieszenia produkcji nowozawodowych tak pilnie potrzebnych rolnictwu (...)”.

Mówi się i pisze: akcja 500 to egzam. polskiego przemysłu, inwestora, budowniczych i montażystów. Podsumowuje się wyniki: terminowo dostawy i zobowiązana załoga.

Czy opłaca się ten końcowy zryw? Czy społeczne koszty strumienia są zbyt wysokie? Czy jakości wykonanych robót nie ulegnie obniżeniu?

Takie pytania padają i na zebraniach. Wówczas jako kontrargumenty podawano: roczna produkcja nowozawodowych w Pulawach umożliwi zwiększenie wydatków z 10 do 15 milionów zł. Import tej ilości z ośroł kosztuje 70 milionów dolarów. Co kryje się za tą sumą? Koszt urządzeń zakupionych dla Pulawy II za granicą zamyka się kwota 45 milionów dolarów. Te rachunki mówią dobitnie: każdy dzień opóźnienia kosztuje drogo.

Znawcy zagadnień inwestycyjnych twierdzą: Azoty, to nareszcie zwykła budowa. Mimo trudności z dostawami, mimo częściowych opóźnień robót... Azoty — suma doświadczeń inwestycyjnych wyniesionych z wznoszenia wielkich obiektów przemysłowych... Kombinaty, który powstaje rewelacyjnie szybko...

Romuald Karaś

Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaktor naczelny: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunta Wolska, Jerzy Piskunowicz, Stefan Wolski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1. Telefon 3-36-0. Redakcja rozpoczyna wszystkie urzędy pocztowe i listownice. Instytucje i zakłady pracy mające drukarnie w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowości Oddziału i Delegatury „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywana są prenumeraty. Prenumerata za granicę kwartalnie zł 12,00; półrocznie zł 24,00; rocznie zł 48,00. Zamówienia i wpłaty przysyłają PKW, Burety Warszawa, ul. Wronia 12. Nr konta PKO 1-4-100000000 „Ruch” Lubelskie Zakłady Graficzne im. PRWN Lublin — Unicki 4. Zam. 3592, 43148, II-4.

Stanisław Fornal

Srebrne gody wytrwałości

(Dokończenie ze str. 11)

eci, do poważniejszych „wypadków” nie doszło. A przecież działalność szkoły nie kończyła się na szerzeniu wiedzy książkowej. Starsi uczniowie wraz ze swą dyrektorką, porucznikiem Spoczynską, należeli do BCH, pełnił odpowiedzialne funkcje. Młodszych zresztą harcerskie „Szare Szeregi”.

Odbywały się spotkania i prelekcje poświęcone różnym kwestiom polityczno-społecznym. Na jednym z takich spotkań mówiono o pracach i siłach zbrodni i północnych, o tym, że ziemię tę muszą powrócić do macierzy.

Prowadzone w tym duchu wychowanie nie spotkało się z aprobatą działających w okolicy ugrupowań reakcyjnego podziemia. Dopiero po wojnie wyszło na jaw, że na wielu zaangażowanych w pracę szkoły — w tej liczbie na Helenie Spoczynską — wydane wyroki śmierci. Na szczęście żadnego z nich nie wykonano. Było to już u schyłku okupacji.

Perspektywa rychłego oswobowienia nie osłabiała, lecz wzmagająca

ła tempo pracy szkoły. Komisja egzaminacyjna (promocje uczniów) każdego roku poprzedzały egzaminy swoje ostatnie tajne posiedzenie odbyła 8 stycznia 1945 r. Pełna dokumentacja postanowień komisji umożliwiła wydanie wszystkim uczniom i absolwentom tuż po wyzwoleniu odpowiednich zaświadczeń. Ogółem było ich 120, w tym — 12 świadectw i 12 młodej matury. Co aktywniejsi abiturienti rozpoczęli studia na wyższych uczelniach, ukończyli je, dziś pracują na odpowiedzialnych stanowiskach.

Co dalej?

Wracając do roku 1945. Wraz z pierwszymi chwilami pookupacyjnej stabilizacji przed lipińską szkołą wyłonili się zasadnicze pytania — co dalej?

Pragnieniem dr Spoczynskiej i skupionego wokół niej grona nauczycielsko — uczniałowsko — rodzicielskiego było utrzymanie szkoły. Powstała jednak kwestia, w jakiej postaci? Uniwersytecki Ludowy? Seminarium nauczycielskie? Nadal „ogólniak”? No i problem: gdzie te szkoły ulokować? Brak budynku, brak sprzętu...

W ślad za podaniem specjalna delegacja udala się do kuratorium w Łodzi. Tu zapadła decyzja: jeśli miejscowe władze zastosują się na powołanie w Lipinach Państwowego Ośrodka Kształcenia Nauczycieli.

Radni gminy w Studziance postanowili przeznaczyć dla Lipin polską opustoszałą leśniczówkę. Do akcji włączyła się młodzież „Wici”, budynek rozebrano, przewieziono podwozami rodziców na świeżo przydzielony plac i społecznym wysiłkiem zestawiono. Zajęcia lekcyjne zaczęły się już wcześniej. Prowadzono je pod gołym niebem, w mieszkaniach nauczycieli, w stodole... Kuratorium przydzieliło fundusz na zakup i przewiezienie budynku starej świetlicy z Łowicza. Potem, z daleka, przytransportowano jeszcze jeden drewniak.

Rychło pierwsi absolwenci opuścili Ośrodek. Aż 8 szkół w dwóch sąsiadujących ze sobą gminach powołano — opoczynski i rawski — zawiązała tym absolutom swoje powstanie. Kiedy wszystko było na najlepszej drodze do przekształcenia Ośrodka w pełne Liceum Pedagogiczne, gdzieś „w górę” zapadła decyzja... likwidacji

Waldemar Babinicz

„Tysiąc szlagierów”

(Dokończenie ze str. 9)

do także wywiał się z honorem z rólki Wiłmywacza, a osiągnięcia Zbigniewa Szejmiana (Inżynier, Bohater Powstania, Bohater Pozytywny itd.), którego wymieniam na deser, należą do najprzejrzystszych. Wreszcie trzeba z zadowoleniem stwierdzić, iż nowi aktorzy: Elżbieta Gaertner (Cnotliwa Zuzanna, Zuzanna Reakcyjna...), i Mirosław Gruszczyński (Inteligent, Nastolatek etc.) zdobyli lubelską publiczność co się zowie wstępnym bojem.

Elementy scenograficzne Liliany Jankowskiej stanowią oprawę spektaklu pełną inwencji, kostiumy i zamierzono w nich niedobory są nader sugestywne, tańce, ewolucje sceniczne także (zasługa choreografa Bogdana Wolczyńskiego). Składkową, jak teksty, muzykę wykonuje orkiestra nienagannie pod dowództwem kierunkiem Ryszarda Schreitera.

M. B.-R.

180 kilometrów od Warszawy

(Dokończenie ze str. 3)

niezaprzeczalnie mądrej przeszłości, i naciśnięciem podkreśliam funkcję społeczną pisma. Bodaj takie Muzy Patronowały wszystkim poczynaniom społecznym!

Kielecczyna uporządkowała z grubszą najpilniejszą sprawą. Bez trudu dojeżdżacie dziś do każdego ex-Obrydzówka. Po Kierkowskie ślad osygi. Środki masowego przekazu — macte animo! — docierają dziś do wszystkich osiedli. Zwyklieli patrzeć realistów: na Św. Krzyżu królów wielki maszt telewizyjny. A były swary, były boje, romanse rozdzierały szaty: „Veto”. Odpowiadano im: „Nie czas żałować rós”.

Czy ja wiem, czyje jest ostateczne zwycięstwo? I jeszcze refleksja natury ogólnej. Czy droga kielecka, droga żmudna, długą, wymagała samozaparcia, bożewień, wyalku wielu ludzi, wielu czynników na przestrzeni lat, jest słuszną? I czy jedyną?

Kielec ma możnych sąsiadów: Kraków, Lublin, Łódź. Zasobne, bogate ośrodki. Iż zakładów naukowych i co ipso, jaka kadra naukowa, aż dech zapiera, kiedy się przełącza „Informator Nauki Polskiej”. Nie odczułamy tego sąsiedztwa, nie emanowały te ośrodki na ubogiego krewnego.

M. K. w Gliwicach. Z dużym zainteresowaniem przeczytałem fragmenty Pana wspomnień. Proszę jednak o właściwy wybór: zwłaszcza należy nam o wspomnieniach z Lublincem.

A. Z. w Krakowie. Otrzymałem Pana „Edukację Jana Lema w Narciu”. Zastanawiam się, w jakim celu przysłał Pan do redakcji „Kamień” ten artykuł, a zwłaszcza jego masywną kopię? Wydało się, że jest to kłopot. Nie skorygujemy.

„Czytelni” w Nalecowie. Czytujemy jeden z Pana utworów. „Gdy garniki chłodziły nocy chłód i dzieci mrocznym snem już śpiły, dwie matki cicho stały nad swą miłością dziewczyną. Przestąpiłaś z ciała jestestwa na płaszczyznę lasów, a potem ludzką nastawiała na substa minut pięć. Z tych minut rannem dźwiękiem spłynęły w powietrze mienią, by nocą dłużej czepać z ciał powieszonych trudów poezji. Kolorów dnia od lat wyznacza chwile na czułość, mienią się, pora na miłość — minut pięć”. Na razie zamieszczamy wiersz w rubryce „Odpowiedzi redakcji” musi Pana zadowolili.

Teresa w Radymnie. Pisze Pan zaledwie kilka wierszy. „Bardzo bym była zadowolona, gdyby choć jeden z tych wierszy znalazł się na łamach „Kamienia”. Oto fragment wiersza „Dla T.”: „Ty nie wiesz, jak technicznie Tobą kocham. Nie wiesz, że od tego mam w sercu rany. Odjechałeś. Musiałam się z tosem pogodzić. Oddałam przesiadkę na nową chłodził”. Niech Pan jednak nadal chodzi na spacer!

S. W. w Olsztynie. „Prozę” o ocenie krótką i konieczną listowną — pisze Pan do redakcji. Odpowiadamy tylko w tej rubryce. Pana wiersze to typowa grafomania. Zadeni nadziei!

Z. W. w Zamościu. Nawet szlachetna intencja nie zmienia faktu, że Pana wiersz jest więcej niż słaby.

B. w Lublinie. Prosi Pan o surową ocenę nadesłanego wiersza. „Wiersz jest tylko Panem wierszem” jest rzeczywistością w poezji.

J. W. w Szczecinie. Wiersze jeszcze nie nadają się do druku, choć niektóre metafory są interesujące. Ale niech Pan przede wszystkim zacznie pisać na serio. Wiersze, które nie są wierszami, nie są wierszami, a wiersze nie rozpraszają napróżno lipowców.

J. J. w Białymstoku. Najlepszy „Azy!” Warty jednak uwagi. Proszę o pierwszy czas prosimy znów coś przysłać.

J. T. w Elku. Chyba uczynił Pan pewien postęp. Niech Pan jeszcze przemyśli wiersz pt. „Ja”. To „Jaj”, zwyciężam i upajam się” zupełnie nie pasuje do całości.

HJK w Lublinie. W zasadzie nie odpowiadamy na listy anonimowe. Prosimy się ujawnić albo skontaktować się z redakcją. Sądymy, że będziemy mogli umożliwić Panu bliższe zapoznanie się z większością utworów.

J. D. w Toruniu. „Spojrzyni” wydaje nam się najlepszy. Prosimy jednak o większy wybór.

E. K. w Bydgoszczy. Moe jeden z wierszy wydrukujemy. Musi Pan być jednak cierpliwy. Wiersze, które nie są wierszami, nie są wierszami, a wiersze nie rozpraszają napróżno lipowców.

M. A. w Puławach. To raczej nie wiersz, ale słowa do piosenki. Trudno nam się do niego przystosować. Prosimy o większy wybór.

J. Ch. w Warszawie. „Znowu jestem w pustym lesie” może wydrukujemy. Z uwagi na prawdziwy potop wierszy pro-

simy jednak o „mote” traktować bardzo problematycznie. „Zaraz” nie wydrukujemy przede wszystkim z uwagi na charakter naszego pisma. Niezależnie od tego Gubi Pan się trochę i nadstawia słów, które powinny być z samej treści. Może ma Pan inne utwory?

G. G. w Lublinie. Pani wiersz do poezji „Tęże jest takie, jakie jest, nie wie go pełna garścią. Naprawdę serce, napęła, rozum. Mądrość życiowa — obrazy morza. Potem to rozda. Miejsce, Rada dobra. Niech i Pani z nim korzysta!”

T. S. w Białym. Pisze Pan w liście do redakcji „rzymowankę”. „Piękne niewiasty w naszych „Panoramach” i piękne wiersze na „Kamieniu” łamach. A czyż dla swoich nam nie udało się znaleźć, a nim ukazać się w dużym nakładzie? Znajdujemy miejsce w tej rubryce. Drukujemy Pana wiersz pt. „Koleje głosu”. Zachowujemy też piosenkę. „Tym, co się tu tak kwapią zrywać owoc z tej różnicy, szpony gąsienic opadają ręką o go podobać. A mianem się wbił pod żebro boleśnie głębią kole. Bo to mi tu wejść trzeba było na krzew w tym polu. Ale cię nam się tego, my nie rezygnujemy. I to do guma swego na niego zamieniamy. Z owocu tego wina będą nam fermentować. I tam minie, gdzie tamina, ciękną, też zaprowadzi. Dzięki nam minie miód będzie na zimie piastu pa-szy. Tacy my dobrzy wszędzie, w całej okolicy naszej. Głóg dobrze, że minie ukłó, dobrze, że drapła szpony. To dla nas jest nauka, niech o tym krąży wrony”. Prosimy pamiętać, gdy Pana wiersze „ukazują się w dużym nakładzie”, że debiutował Pan w „Kamieniu”!

K. S. w Gdyni. Moe jeden z wierszy wydrukujemy. Zatrzymujemy w tece redakcyjnej.

S. L. w Lubartowie. Z dużym zainteresowaniem przeczytałem Pana wiersz. Wydrukujemy prawdopodobnie „Ten dzień”. Prosimy nie tracić kontaktu z „Kamieniem”.

M. S. K. Odbierujemy gwałtowne obniżenie się poziomu nadsyłanych do nas fraszek. Nawet piosenki tych autorów, których już kiedyś drukowaliśmy. Ta waga odnosi się i do Pana. Proszę przysłać do druku choćby taka Pana fraszka: „Miała taka miła buzię i oczka takie cudne. Wiele padł z niej, że jej stół, i zobaczył, że są brudne”. Śmiało się! Plakać!

D. B. w Lipowcu. Przekażaliśmy Pani zagadkę red. W. G. Mógłby Pan przedstawić coś najmniej dziesięć podobnych i lepszych, również życząc „smaczności”!

Uwaga, odczyt Czytelni! Liczba wierszy nadsyłanych do redakcji „Kamienia” z całej Polski ciągle wzrasta. Niestety, mimo najszerszych chęci nie możemy wszystkim autorom udzielić odpowiedzi nawet na łamach pisma „Kamienia” i tak w porównaniu z innymi pismami tego typu drukujemy więcej utworów poetyckich. Zamieszczamy też sporo drobnych. Mamy jednak ograniczoną liczbę stron i miejsca przeznaczoną na wiersze. Prosimy o tym pamiętać!

Uwaga, uczestnicy konkursu „Kamienia” i Wydz. Kultury Prez. WRN w Lublinie! Brak nam jeszcze aktualnych adresów pp. JOLANTA MYNAROWICZ z Białymostka, KRYSTYNA KUBICKA z Rzeszowa, KRYSZYNA GÓRNEJ z Białogostku i BARBARY SZCZUK z Końskich. Opoźnia to wręcz nie nadaje. Wyrażamy nadzieję, że przekażą nam jak najszybciej skontaktowanie się z redakcją!

Uwaga, uczestnicy konkursu „Kamienia” i Wydz. Kultury Prez. WRN w Lublinie! Brak nam jeszcze aktualnych adresów pp. JOLANTA MYNAROWICZ z Białymostka, KRYSTYNA KUBICKA z Rzeszowa, KRYSZYNA GÓRNEJ z Białogostku i BARBARY SZCZUK z Końskich. Opoźnia to wręcz nie nadaje. Wyrażamy nadzieję, że przekażą nam jak najszybciej skontaktowanie się z redakcją!

Tak więc wystawili diaby swoje persypoki i widzą, że to nie diabła, skłamała podzielała na ludzi, tylko hecka piwa przywieziona z tarnobrzejskiego browaru. A wszystkie te górnicy, którzy kiedyś spali, były z okazji malej, żółtej brzoły siarki.

Przyjrzyli się diaby bliżej tym ludziom i widzą, że to nie miejscowi. I że zamiast domów drewnianych, czy też murowanych, jakie zaczęto tu niedawno stawiać, ci ludzie postawili sobie domy żelazne. Długo ten zosiadał tak wysoko wieże, jakby most na Wile postawił Sandomierza piosenki kości postawił. Zdumiali się diaby widząc taki dom i taką rodzinę, w której ani bab, ani dzieci nie ma, tylko same chłopy. I jeszcze się bardziej zdziwili, kiedy przekonali się, że studnia nie głębi ziemi prowadzi, tylko do żelaznego domu. Patrzył dalej i widzą, że choć ludzie stoja na powierzchni ziemi, to ich ręce przedłużają się do nieba, a ich głowy sięgają do gwiazd.

A ponieważ ludzie ci popijają piwo i śpią, „my górnicy” i „niech żyje nam górnicy staro”, więc diaby domyśliły się, że mają do czynienia z górnikiem i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których obyte w świecie diaby opowiadały, że są z siarki, że ich ciała, i przetrząsły się widząc radość górników z kawalka siarki, jak im bez zastanowienia podtrzymują od tego dnia, kiedy podtrzymali górnikiem bryłkę prawie czystej siarki, nawarzyli sobie diaby kłopotów, o to, że siarka nie jest siarką, a jest siarką, i wtedy przypomniły sobie, że to są właśnie ci ludzie, o których